

„Afryka ma kształt złamanego serca i serce rozbitego ładu” – śpiewa Imany, czarnoskóra artystka o kontynencie, z którego pochodzi. Złamane serca mają także afrykańskie kobiety, które kultura zmusza do akceptowania poligamii i patriarchy rozbuchanego do granic możliwości. Pisze o tym Izabela Cywa w artykule „Twarda jak skała”. Kobieta w Republice Środkowoafrykańskiej, ale także w każdym innym afrykańskim kraju, musi być twarda. Na jej barkach spoczywa bowiem ogromny ciężar – dosłownie i w przenośni. Afrykańska kobieta dźwiga na swojej głowie ciężar drewna, owoców i wody, którą przynosi ze studni, często oddalonej o kilka kilometrów. Dźwiga także ciężar odpowiedzialności za byt i przetrwanie rodziny.



W tradycyjnym społeczeństwie rodzina jest ważna, bo zapewnia kobiecie odpowiedni status. W Republice Środkowoafrykańskiej bezdzietna kobieta traktowana jest jak wiedźma, czarownica. Dzieci są ważne, a jednocześnie nie rodzą się w dobrych warunkach. Co dziesiąty noworodek w tym kraju umiera, a śmiertelność kobiet podczas porodu jest niemal najwyższa na świecie. Kobiety rodzą, żeby nie cierpieć z powodu wykluczenia, a jednocześnie rodzenie dzieci przynosi ogromne cierpienie. Z obserwacji tego bólu, naznaczonego niejednokrotnie stratami, zrodziła się koncepcja projektu Bezpieczna Mama. W tym numerze poświęcamy mu sporo miejsca.

W 2023 roku misjonarze świętują jubileusz 100-lecia obecności Sercanów w Republice Południowej Afryki. Z tej okazji postanowiliśmy przybliżyć realia tego afrykańskiego kraju, w którym przez wiele lat życie społeczne naznaczone było ideologią apartheidu. Natomiast artykuł Krzysztofa Błazycy polecamy osobom o mocnych nerwach. Opisy wieloletniej wojny domowej w Ugandzie są bardzo realistyczne i mogą wywołać wiele emocji.

Mam nadzieję, że poruszane w czasopiśmie tematy poruszą Wasze serca!

Dorota Podpłócki

redaktor naczelna

DRODZY DARCYŃCY MISYJNI,

zdarzyło mi się kiedyś objąć dyżur telefoniczny w biurze misyjnym, a było to w czasie, gdy nasi Darczyńcy otrzymywali poprzedni numer magazynu „MISJE”. Ten dyżur był dla mnie trochę uciążliwy z uwagi na liczne obowiązki, ale jak się okazało – wyszło mi to na zdrowie. Po pierwsze – dowiedziałem się bezpośrednio, z jakimi sprawami dzwonią do nas różne osoby. A po drugie – przekonałem się, że nasza praca misyjna w terenie ma nie tylko wymiar pomocowy dla bezpośrednio obdarowanych. Jedną z rozmów była wyjątkowo inspirująca. Moja rozmówczyni poprosiła o przysłanie jej dodatkowych numerów „MISJI”. Argumentowała to tym, że chce podarować pismo swoim znajomym, którzy przeżywają kryzys wiary, którym popsule się relacje z Kościołem instytucjonalnym, którzy myślą, że Kościół Katolicki to tylko parafia w ich miejscu zamieszkania...

„Pokazujecie piękno i wielkość Kościoła. Pokazujecie, jak wiele dobra czynią misjonarze. Pokazujecie, że Kościół to nie tylko nasze, polskie podwórko i nasze sprawy. Pokazujecie, że nie tylko zbieracie pieniądze, ale też sami jesteście zaangażowani w niesienie pomocy” – usłyszałem w słuchawce.

Te słowa mocno zapadły mi w pamięć. Lubię do nich wracać. Często powtarzam je też moim współpracownikom. Mam nadzieję, że po lekturze tego numeru „MISJI” również Państwu będą towarzyszyć podobne odczucia!

ks. Piotr Chwielecki scj

zastępca Sekretarza Misji Zagranicznych
Księża Sercanów w Polsce

Spis treści



CZAD

Wywiad z misjonarzem

8 Serce, które widzi

– rozmowa z ks. Edwardem Ryfą o budowie studni i codzienności misjonarza w Afryce

RPA

Okiem misjonarza

16 Madiba – Ojciec Narodu

– sylwetka Nelsona Mandeli, pierwszego czarnoskórego prezydenta Republiki Południowej Afryki

Kultura zuluska

24 Sangoma kontra Ewangelia

– rozwój Kościoła Katolickiego w RPA w kontekście tradycyjnych wierzeń

UGANDA

Okiem reportera

28 Krew Aczoli – o pokoleniu traumy

– relacje z krwawej wojny w Ugandzie zebrane przez Krzysztofa Błażycę

36 Życie po traumie wojny

– ksiądz David Okullu o realiach mieszkańców Pabo

RŚA

Kobieta w Afryce

40 Twarda jak skała

– codzienność kobiet w Republice Środkowoafrykańskiej

46 Bezpieczna Mama

– projekt, który ma szansę zmniejszyć śmiertelność okołoporodową kobiet i dzieci

Okiem wolontariusza

50 Misja położna

– o swoim doświadczeniu misyjnym opowiada Sara Suchowiak





UKRAINA

Relacja z wyjazdu

- 56** 300 dni wojny
– relacja ks. Piotra Chmieleckiego SCJ
z transportu pomocy humanitarnej

ZBIERAMTO

- 64** Pomoc misjom „bez pieniędzy”
– akcje prowadzone przez Sekretariat
Misji Zagranicznych Księży Sercanów

Sylwetki Darczyńców

- 66** Dajmy Czadu, wybudujmy
studnię w Czadzie
– działania pana Ryszarda Skonieczka z Lubrzy
aktywujące lokalną społeczność
- 70** Srebro na wagę złota
– o tym, jak zrodził się pomysł na tworzenie
krzyżyków sercańskich ze starego
srebra i złota

Z ŻYCIA SEKRETARIATU

- 74** Projekty zrealizowane w 2022 roku
- 76** Intencje mszalne



The background is a photograph of a dry, hilly landscape with sparse vegetation and a dirt path. Overlaid on this is a semi-transparent world map. A white line originates from a dot on the map of Bolivia and points towards the text block.

BOLIWIA

- *Adopcja Miłości w Cochabambie*
s. Anna Kurysz SSCJ
- *Adopcja Nadziei w Santa Cruz*
s. Bonawentura Barcik CMBB

GDZIE I JAK pomagamy?

Jako Sekretariat Misji Zagranicznych Księża Sercanów głosimy Ewangelię, pomagamy Ubogim, tworzymy Więzi. Realizujemy projekty misyjne w wielu krajach na wszystkich kontynentach. Wspieramy dzieła prowadzone przez misjonarzy sercańskich, a także tych, którzy proszą nas o pomoc. Budujemy studnie, domy, kościoły. Dożywiamy, leczymy, wychowujemy.

UKRAINA

- **Pomoc ofiarom wojny**
ks. Piotr Chmielecki SCJ

NADDNIESTRZE

- **Studia od Serca**
ks. Marcin Januś SCJ

ALBANIA

- **Leki dla przychodni zdrowia**
ks. Jarosław Grzegorzcyk SCJ

INDIE

- **Budowa domów dla ubogich rodzin**
ks. Jojappa Chinthapalli SCJ

FILIPINY

- **Adopcja Serc w Cagayan de Oro**
ks. Franciszek Pupkowski SCJ
- **Dożywianie i edukacja dzieci**
Ks. Dariusz Drzewiecki MIC
- **Kształcenie kleryków**
ks. Franciszek Pupkowski SCJ

CZAD

- **Budowa studni**
ks. Jakub Szatek
ks. Edward Ryfa
ks. Stanisław Worwa
- **Nowa misja – budowa kościoła w Lai**
ks. Jakub Szatek
- **Agregat prądotwórczy dla diecezji Lai**
ks. Jakub Szatek
- **Dożywianie i edukacja dzieci**
ks. Jakub Szatek

RŚA

- **Bezpieczna Mama**
Iza Cywa, Sara Suchowiak

RPA

- **Stypendia dla studentów**
ks. Kazimierz Gabryel SCJ

TANZANIA

- **Budowa studni**
o. Adam Cytrynowski MAfr
- **Sprzęt do wiercenia**
o. Adam Cytrynowski MAfr

Serce, KTÓRE WIDZI

Kamila MARCINKIEWICZ

O tradycyjnym podziale ról w społeczeństwie afrykańskim, ewangelizacji obejmującej ogromne obszary i działaniu Opatrzności Bożej przy budowie studni rozmawia Kamila Marcinkiewicz z ks. Edwardem Ryfą, misjonarzem w Czadzie, który spędził tam już ćwierć wieku. Przez ten czas wybudował ponad 150 studni, ale wielu z jego działań nie da się zamknąć w wymiarze materialnym.



Kamila Marcinkiewicz: Od ilu lat pracuje Ksiądz w Czadzie?

ks. Edward Ryfa: W zeszłym roku, w październiku, minęło 26 lat. Wyjechałem w 1996 roku. Aktualnie pracuję w Ba-illi – to moja druga placówka. Pierwszą placówkę miałem na obrzeżach Ndżameny – stolicy Czadu. Tam nie zajmowałem się tylko parafią, ale miałem też wspólnoty w rozproszeniu (*dispersées*). Co miesiąc robiłem tygodniowe tournée po wspólnotach rozproszonych na ogromnej przestrzeni, średnio 900 kilometrów. Od 2002 roku jestem już w Ba-illi, aż do teraz.

Czy może Ksiądz opowiedzieć o codziennym życiu ludności? Czym zajmują się kobiety, mężczyźni, dzieci, ludzie starsi?

Teren, na którym mieszkam, jest przede wszystkim problematyczny ze względu na klimat – niedobry



do uprawy (można uprawiać tylko w porze deszczowej, czyli tylko przez trzy miesiące w roku, pozostały czas to susza). To warunkuje życie tych ludzi – żyją oni praktycznie z dnia na dzień. Żyją lepiej w czasie zbiorów i po zbiorach, potem następuje długi okres, kiedy jest trudno o pożywienie. Przeciętna rodzina jada wtedy raz dziennie, pod wieczór. Rano może wypić jakąś herbatę czy dać

„ Klimat warunkuje życie ludzi. Żyją lepiej w czasie zbiorów i po zbiorach, potem następuje długi okres, kiedy jest trudno o pożywienie. Przeciętna rodzina jada wtedy raz dziennie, pod wieczór.

grysik na wodzie dzieciom. Ich życie jest ciężkie i nędzne w tym okresie.

Jest rozgraniczenie funkcji w rodzinie. Mężczyzna nigdy nie wchodzi do kuchni – to sprawy kobiety. Sprawy wody – to też troska kobiet oraz dzieci. Kobieta kilka razy w ciągu dnia chodzi z dziećmi po wodę (jej rolą jest również przygotowanie wody dla męża – to znaczy nagrzanie jej). Kobieta musi zdobyć również opał, żeby przygotować posiłek. W porze deszczowej kobieta pomaga mężowi również w uprawie roli. Rolą mężczyzny jest zabezpieczenie jedzenia na cały rok. Mężczyźni budują spichlerze w ziemi w kształcie





wazy, to jest taka rezerwa na czas, kiedy jest bardzo trudno i jedzenie trzeba rygorystycznie wydzielać.

Kobiety zajmują się również dziećmi. Pracują one więcej niż mężczyźni i są bardziej przedsiębiorcze. Tam, gdzie mężczyźni rozkładają w bezsilności ręce, kobiety zawsze znajdują rozwiązanie. Rola kobiety jest bardzo ważna w Czadzie. Często trzyma ona rodzinę.

Ciekawostka – kobiety produkują również alkohol! Przygotowują lokalne piwo – „bili bili” – niektóre też przygotowują bimber. Często idzie on również na sprzedaż.

Mężczyzna powinien wybudować dom (ale w niektórych plemionach robi to kobieta). Mężczyzna powinien dbać o posesję, podwórkę, ale porządek na nim należy również do kobiety.

Dzieci już od najmłodszych lat pomagają rodzicom. Chłopcy pomagają w pasaniu bydła – wyprowadzają je na pastwiska, często daleko szukając odpowiedniego miejsca. Dziewczynki są przy



mamie – kuchnia, zmiatanie podwórka, pójście po wodę. Rodziny są wielodzietne, dlatego też rodzice preferują chłopców. Nie stać ich na szkołę. W związku z tym, kiedy przyszedłem do parafii, moją pierwszą potrzebą było danie szansy dziewczynom. Dlatego otworzyliśmy przy parafii szkołę tylko dla dziewczynek. Stworzyliśmy również przestrzeń dla dzieci z odległych wiosek – tak zwane „foyer” (czyli świetlicę). Jest tutaj również internat, co umożliwia edukację nie tylko tym dzieciom, które mieszkają blisko naszego centrum.

Jak wygląda ewangelizacja w warunkach czadyjskich?

Ewangelizacja w Czadzie zaczęła się najpóźniej, jeśli chodzi o kraje afrykańskie. Pierwsi misjonarze dotarli tu z Afryki Centralnej pod koniec lat 40. XX wieku. Kiedy przyjechałem do Czadu, po roku mojego pobytu świętowaliśmy 50-lecie ewangelizacji. Jest to bardzo młody, ale bardzo żywy Kościół. Moja parafia liczy ponad 80 wiosek – corocznie chrzczymy w każdej wspólnotie około 1000 osób. Kościół bardzo się rozwija, jeśli chodzi o liczbę wiernych. Przygotowanie do chrztu, czyli



katechizacja, trwa cztery lata (ostatni rok to cykl rekolekcji – sześć etapów, każdy z nich jest celebrowany, trwa to aż do okresu Wielkanocy i wtedy odbywają się chrzty).

Jest około 3000 katechumenów na całą parafię. Odgrywają oni ogromną rolę w ewangelizacji. Dla nas – misjonarzy – problemami są obszar i język. Bezpośrednia ewangelizacja w każdym z tych miejsc byłaby niemożliwa, dlatego przygotowujemy katechetów, by mogli głosić katechezy.

Kościół jest dobrze zorganizowany na tamtejsze warunki. Nasza parafia mieści się 300 km od diecezji (Ndżameny). W tym regionie są tylko dwie parafie – Bousso (100 wiosek) i Ba-illi (80 wiosek). Parafie mają więc obszar porównywalny z polskim dekanatem, ale jest nas tylko dwóch księży. Odległości pomiędzy centrum parafii a wioskami to często nawet ponad 100 km, nie ma tam dróg – jest to więc

ogromny wysiłek i wyzwanie. Bez zaangażowania ludzi świeckich byłoby trudno. Ludzie chcą się angażować, czynią to bezpłatnie, dobrowolnie. Dużo jest grup zajmujących się dobroczynno-

„ Jest podział funkcji w rodzinie. Mężczyzna nigdy nie wchodzi do kuchni – to sprawy kobiety. Przyniesienie wody to też troska kobiet i dzieci. Poza tym kobieta musi zdobyć opał, pomaga w polu, zajmuje się dziećmi.

ścią – Caritas parafialne oraz grupy modlitewne, na przykład Maryjne, czy grupa skautów dla dzieci, „Serce, które widzi” – dla maluchów. Jest bardzo dużo wspólnot. Liturgia też

jest bardzo żywa, ludzie śpiewają całym swoim ciałem.

Bycie polskim misjonarzem to przywilej czy udręka? Chodzi mi o podejście lokalnej społeczności.

Gdyby to była udręka, to nie wytrzymałbym tam 25 lat. W mojej diecezji nie ma dużo Polaków – kiedyś było pięciu, sześciu, dziś jest nas dwóch. Mam wrażenie, że piszemy dobrą kartę, jeśli chodzi o naszą pracę i obecność w tej diecezji. Czuję się tam dobrze.

A ile wybudował Ksiądz studni w Czadzie?

Myślę, że 150, ale w którymś momencie przestałem już liczyć [śmiech]. Historia ze studniami, z tak dużym zasięgiem, zaczęła się kilka lat temu. Od początku były bardzo duże potrzeby, udawało nam się je budować sporadycznie, ale brakowało nam zaplecza finansowego. W Ba-illi, wiosce, do której przyszedłem, posługujące tam siostry miały już kontakty z pewną wspólnotą z Włoch, która dotychczas zbudowała dla parafii 30 studni. W moim przypadku Boża Opatrzność i sam Pan Bóg znalazł mi Darczyńców, bo ja właściwie nigdy nie szukałem. Dobroczynicy nas znajdują sami.

Zaczął się od grupy charytatywnej w Przeworsku – zorganizowano zbiórkę makulatury przy parafiach i zebrane pieniądze przeznaczono na misję, na budowę studni. Współpraca ta zaczęła się w 2017 roku – z nimi udało się zbudować ponad

20 studni. Po tej akcji zaczęli się zgłaszać również indywidualni darczyńcy, którzy chcieli budować – i tak to się wszystko zaczęło. Prośb zaczęło się pojawiać więcej. Potem do pomocy zgłosiła się diecezja rzeszowska, ale największy jednorazowy zastrzyk wsparcia otrzymaliśmy od Darczyńców z Sekretariatu Misji Zagranicznych Księża Sercanów. To była ważna pula w budowaniu tych studni, bardzo nam to pomogło. Pierwszym razem zbudowaliśmy 20, potem 15 i – ostatnio – 10 studni.

Czy budowa studni wiązała się z dużym zaangażowaniem?

Do wywiercenia studni głębino-wej potrzebna jest woda – tutaj jest zawsze ogromny udział miejscowej ludności. Nieraz bardzo trudno ją zdobyć, trzeba podążać często kilka kilometrów (robią to kobiety). Proces dostarczania wody wymaga dobrej organizacji – musi być ona

dostarczana na bieżąco, nie można przerwać tego procesu, musi być ciągłość. Budowa trwa zazwyczaj dobie.

Oprócz tego społeczność lokalna musi dać pożywienie ekipie pracowników (to bardzo ciężka praca, duży wysiłek). Cała wspólnota się organizuje, żeby zabezpieczyć te potrzeby.

Co jeszcze jest ważne? Wspólnota dba o te studnie jak o swoje, jak o skarb. Formuje komitet i składa się na przykład raz na miesiąc, żeby mieć pulę środków na zabezpieczenie napraw (często nie są to skomplikowane rzeczy, po prostu wymiana rury czy innego elementu urządzeń). Są też studnie komercyjne, które działają rok. Nasze, które budowałem kilka lat temu, nadal funkcjonują, ciągle jest woda. Dlaczego? To efekt tego poczucia odpowiedzialności i troski, jakie próbujemy zaszczepić w społeczności. Często ludzie proszą właśnie nas o budowę, bo wiedzą, że nasz system sprawdza się na długo.

Czy mieszkańcy dokładają się do budowy studni?

Nie wszyscy, zależy to od wspólnoty. Wspólnoty partycypują niewielką kwotą – do 100 tysięcy franków tutejszych (niecałe 150 euro). Często, jak uzbierają więcej, jest potencjał na inną studnię. Czasami dają mniej lub nie dają, ale ja z tego nie robię problemu. Ich uczestnictwo w budowie studni jest ważnym elementem edukacyjnym, nie rezygnujemy z tego – ten wysiłek jest ważny, czują wartość tego i że należy o to dbać. Nie ryba, a wędka. Na ogół dbają o studnie, bo to jest ich życie.

Na początku budowania studni, jeszcze w Ndżamenie, mój poprzednik nie angażował ludzi w ten proces. Kiedy ja przyszedłem do parafii, w jednej ze wspólnot studnia zaczęła się psuć. Wtedy przyszli do mnie ludzie i mówili: „Psuje nam się studnia, napraw nam. Tamten nam dał, a co ty nam dasz?”. Ja im





odpowiadałem: „Nie mam wam nic do dania, poza tym, co jest moją rolą. Jeżeli wam się dało, to trzeba było o to dbać, jesteście dużą społecznością. Waszą rolą jest troska o to miejsce”. Dla mnie jest ważne, żeby wszyscy we wspólnocie wiedzieli, że to ich wysiłek i ich rzecz. Ludzie oczywiście pomogą – najpierw jednak krok zróbcie wy.

Czym kieruje się Ksiądz w wyborze miejsc na studnie?

Zazwyczaj jest to tak, że robimy studnie według zgłoszonej kolejności potrzeb, są jednak wyjątki. Czasem przychodzą ludzie w krytycznej sytuacji, błagają mnie o wodę, a ja akurat nie mam pieniędzy. Mówię im wtedy: „Trzeba się modlić, módlcie się, a znajdzie się rozwiązanie”. Mam już kilka takich przypadków, zdarza się, że odsyłam ludzi z kwitkiem, ale dwa-trzy dni później dostają wiadomość, że ktoś chce

wybudować studnię. I tak to działa – często ci ludzie wtedy trafiają poza kolejnością. Tak działa Opatrzność Boża, nie ja.

Dlaczego w tych miejscach nie ma studni? Czy jest inne rozwiązanie tego problemu?

Zazwyczaj wioski osiedlają się nad rzeką. Problem jest w tym, że w naszym regionie raczej nie ma rzek – jedna wypływa z centralnej Afryki i wpływa do jeziora Czad. Blisko mojej parafii są tylko dwie-trzy studnie sezonowe (w porze deszczowej łączą się z tą główną rzeką, w porze suchej wysychają). Pora sucha jest najtrudniejsza, jest wtedy bardzo utrudniony dostęp do wody. Czasami woda gromadzi się też w obszarach nizinnych, w zagłębieniach – po porze deszczowej bywa ona tam do dwóch miesięcy. Pije z niej bydło, piją ludzie. Jak już nie ma nic, to

ludzie starają się kopać ziemną studnię. Średnio trzeba wykopać przynajmniej dziesięć metrów, żeby było choć trochę wody. To ogromny trud (ziemia jest twarda jak skała). Jak ją robią? Kiedyś widziałem kopanie takiej studni – ludzie grzebali kilka dni metalową płytą. Wody z tej studni były dwa wiaderka na cały dzień, tylko tyle. Kopanie studni w taki sposób jest niebezpieczne – często ludzie umierają podczas kopania, słabną lub zatrują się prawdopodobnie gazami, które się ulatniają w tym procesie (niestety nikt tych przyczyn do dziś nie sprawdził). Kopanie takiej studni wiąże się z dużym ryzykiem.

Ich rozwiązania są niewystarczające – nie dają tyle wody, by zapewnić potrzeby społeczności.

Dlaczego studnie w Czadzie są jeszcze potrzebne?

Jest jeszcze wiele wiosek, które mają utrudniony dostęp do wody. Z uwagi na tak dużą liczbę członków rodzin tych wiosek jest coraz więcej. Pierwsze wrażenie podczas wizyty we wspólnocie to mnóstwo dzieci wybiegających ci na spotkanie. To duże bogactwo Czadu. Gdy wioska ma zbyt wielu mieszkańców, ludzie muszą się przemieszczać dalej, gdzie tereny są jeszcze nieuprawiane, aby znaleźć nowy obszar do wykorzystania. Tak się tworzy nowa wioska. Jej sytuacja jest zazwyczaj najbardziej pilna – nowi osadnicy mają wszędzie daleko (ich często biorę pod uwagę przy budowie studni poza kolejką).

„ Czasami po porze deszczowej woda gromadzi się w obszarach nizinnych, w zagłębieniach. Pije z niej bydło, piją ludzie. Jak już nie ma nic, to ludzie starają się kopać studnię ziemną. To ogromny trud.

Co studnia zmienia w życiu lokalnej społeczności? Czy te zmiany są widoczne od razu, czy dopiero po jakimś czasie?

Radość u ludzi jest widoczna od razu – jest woda, jest blisko i jest jej tyle, ile kto chce. Bardzo poprawia się higiena – kiedy nie

ma wody, higiena zostawiana jest na boku. Często widziałem dzieci, kiedy zostawałem w wiosce na noc, tak samo zakurzone wieczorem i rano... Kolejna rzecz to wpływ na zdrowie – woda ze studni jest zdrowa, czysta, bez bakterii – ludzie zaczynają być zdrowsi. Woda to życie, zawsze jest potrzebna, woda to w każdej wiosce skarb.

Jakie są Księdza najpiękniejsze wspomnienia związane z budową studni?

Wiążą się z budową jednej z pierwszych studni na terenie mojej parafii. Zbudowaliśmy studnię na terenie wioski. Za jakiś czas pojechałem odwiedzić wspólnotę, widziałem tę studnię. I taka staruszka przyjechała na osiołku

z bukłakiem do wody. Jak mnie zobaczyła, uściśliła mi rękę, i ta wdzięczność... aż miałem łzy w oczach. Czułem, że to, co im daliśmy, było dla nich bardzo ważne. Zresztą – to się odczuwa przy budowie każdej studni. Kiedy jadę poświęcić studnię i zawiesić tablice pamiątkowe, zawsze wszyscy wyrażają swoją wdzięczność. Jest to dla mnie ważny element ewangelizacyjny – nie tylko dajemy Słowo, ale za tym Słowem idzie również dobro, czyn. To, co często uderza obdarowanych, to to, że ci, którzy ich nie znają i nie wiedzą, jak żyją, ofiarują często swoje oszczędności na budowę studni, by dać im wodę. To jest wzruszające i motywujące do dalszego działania. ■



**BUDUJ Z nami
STUDNIE
W CZADZIE**

[www.misjesercanow.pl/projekty/
budowa-studni-w-czadzie](http://www.misjesercanow.pl/projekty/budowa-studni-w-czadzie)

Madiba – Ojciec Narodu

ks. Zbigniew CHWAJA SCJ

Mój pobyt i praca misyjna w Republice Południowej Afryki zbiegły się w czasie z życiem na wolności Nelsona Mandeli, pierwszego czarnego prezydenta kraju. Przyleciałem do RPA już po wyjściu Mandeli z więzienia, a opuściłem kraj rok po jego śmierci. W pewnym sensie mogę powiedzieć, że kibicowałem jego wysiłkom odbudowy kraju i obalania uprzedzeń rasowych, którego był gorącym orędownikiem. Był jednym z najbardziej fascynujących i inspirujących ludzi, z jakimi zetknąłem się w życiu...





Nelson

Rolihlahla Mandela urodził się w klanie Madiba w wiosce Mvezo we wschodniej, najuboższej części kraju 18 lipca 1918 roku. Mandela otrzymał od swoich rodziców imię Rolihlahla, czyli „rozrabiacz”. Jak się później okazało, było to wyjątkowo opatrnościowe i trafne określenie, na które zasłużył już jako student na Uniwersytecie Fort Hare, gdzie po raz pierwszy został zawieszony za udział w protestach i bojkocie władz uczelni.

Mandela, przybrany syn wodza Thembu, wychowywał się

w tradycyjnej, plemiennej kulturze swoich przodków, ale w młodym wieku poznał współczesną, nieuniknioną rzeczywistość tego, co nazwano apartheidem, jednego z najpotężniejszych i najsukuteczniejszych systemów ucisku. Słuchając opowieści starszych o męstwie swoich przodków podczas wojen plemiennych, również marzył o wniesieniu własnego wkładu w walkę o wolność swojego ludu.

Najpierw uczęszczał do szkoły podstawowej w wiosce Qunu, prowadzonej przez misjonarzy metodystów. Jego nauczycielka, panna

” Mandela, przybrany syn wodza Thembu, wychowywał się w tradycyjnej, plemiennej kulturze swoich przodków, ale w młodym wieku poznał współczesną, nieuniknioną rzeczywistość tego, co nazwano apartheidem.

Mdingane, zgodnie ze zwyczajem nadawania wszystkim uczniom imion „chrześcijańskich” nadała mu imię Nelson, prawdopodobnie dla uczczenia wielkiego angielskiego admirała dowodzącego flotą brytyjską w bitwie pod Trafalgarem. Następnie podjął dalszą edukację w szkole średniej, żeby wreszcie wyjechać na studia do Fort Hare, jedynej wówczas uczelni wyższej, gdzie akceptowano czarnych studentów.

W poszukiwaniu pracy przybył w 1941 roku do Johannesburga. Tam pracował jako oficer ochrony kopalni i starał się kontynuować swoje studia. Dwuletni dyplom ukończenia studiów prawniczych, uzupełniony tytułem licencjata, pozwolił Mandeli na praktykę prawniczą. Jego kancelaria pomagała przede wszystkim czarnym mieszkańcom, których nie było stać na wynajęcie adwokata.

Działacz polityczny

Mając coraz większą świadomość niesprawiedliwości systemu

politycznego, Mandela zaangażował się w podziemną działalność polityczną. 21 marca 1960 roku w Sharpeville na przedmieściach Johannesburga policja zabiła 69 i raniła ponad 180 nieuzbrojonych ludzi protestujących przeciwko przepisom dotyczącym przepustek. Wielu z nich zostało postrzelonych w plecy, gdy próbowało uciekać przed napierającymi siłami policyjnymi. Dla Mandeli te wydarzenia stanowiły przełom w jego podejściu do walki z niesprawiedliwością apartheidu.

Chociaż początkowo wierzył w pokojowe protesty, po tym, co zobaczył w Sharpeville, w 1961 roku zaangażował się w utworzenie „Umkhonto we Sizwe” (Włóchni Narodu), zbrojnego ramienia w walce przeciwko rządowi, i w kampanię sabotażową. Ostatecznie po długim czasie ukrywania się został w 1962 roku aresztowany w czasie policyjnej blokady drogowej pod

Howick. W słynnym procesie Rivonia skazano go wraz z grupą współpracowników na dożywocie.

Mieszkając i pracując w prowincji KwaZulu-Natal, miałem okazję wielokrotnie odwiedzać miejsce uwięzienia Mandeli. Wyobrażałem sobie, jak wyglądała ta pagórkowata wiejska okolica w latach 60., w dniu, kiedy niepodajejrzejący niczego,

przebrany za szofera Mandela został zaskoczony w starym samochodzie przez służby specjalne opresyjnego państwa.

W obliczu grożącej mu kary śmierci podczas procesu uwiecznione zostały jego słowa skierowane do sądu przed wydaniem wyroku: „Walczyłem z dominacją białych i walczyłem z dominacją czarnych. Cenię ideał demokratycznego i wolnego społeczeństwa, w którym wszyscy żyją razem w harmonii i mają równe szanse. To ideał, dla którego mam nadzieję żyć i który chcę osiągnąć, ale jeśli trzeba, to ideał, za który gotów jestem umrzeć”.

W maju 1963 roku Nelson Mandela przybył na Robben Island, gdzie spędził 18 ze swoich 27 lat więzienia. Zamknięty w małej celi, spał na macie rozłożonej na podłodze, a za toaletę służyło mu wiadro. Był tam zmuszany do ciężkiej pracy w kamieniołomie. Miał prawo do jednych odwiedzin rocznie trwających





30 minut. Mógł też napisać i otrzymać jeden list co sześć miesięcy.

Robben Island to niewielka wyspa na północ od Kapsztadu, która ma powierzchnię około 13 kilometrów kwadratowych. Jej nazwa pochodzi od słowa oznaczającego języku africaans „foki”, niegdyś obficie pływające w okolicznych wodach. Od 1846 do 1931 roku na wyspie znajdowała się kolonia trędowatych, wysyłano tam również tych, których uznano za obłąkanych. W czasie II wojny światowej wzniesiono na niej fortyfikacje, a od połowy lat 60. do 1991 roku Robben Island służyła jako więzienie o zastrzonym

rygorze dla skazanych w procesach politycznych.

Korzystając w „czasie wolnym” z pewnego przywileju, jakim był dostęp do książek, Mandela dużo czytał, uczył się języków, a nawet przygotował się do otrzymania w przyszłości doktoratu z filozofii. To właśnie tam jako niekwestionowany lider namawiał współwięźniów, aby uczyli się znienawidzonego języka afrikaans, twierdził, że łatwiej pokonają wroga, jeśli będą mówili jego językiem. Ostatecznie został bezwarunkowo zwolniony z więzienia 11 lutego 1990 roku. Wcześniej trzykrotnie odrzucił warunkowe

zwolnienia, żeby nie być podejrzanym o pójście na kompromisy czy kolaborację z rządem.

Robben Island stała się tygłem, który go przemienił. Przez swoją inteligencję, urok i pełen godności upór opuścił więzienie jako dojrzały przywódca, zdolny do wygrywania wielkich bitew politycznych, które miały stworzyć nową demokratyczną Republikę Południowej Afryki.

Prezydent

10 maja 1994 roku Nelson Mandela został pierwszym demokratycznie wybranym prezydentem Republiki

” Na Robben Island Nelson Mandela spędził 18 ze swoich 27 lat więzienia. Zamknięty w małej celi, spał na macie rozłożonej na podłodze, a za toaletę służyło mu wiadro. Był tam zmuszany do ciężkiej pracy w kamieniołomie.

Południowej Afryki. Pierwszą osobą, którą zaprosił do pałacu prezydenckiego tuż po ogłoszeniu wyniku wyborów, był strażnik z więzienia na Robben Island, który się nim „opiekował” przez lata jego uwięzienia. Jak później powiedział, „chciał wspominać dawne czasy”.

Historia kontynentu afrykańskiego w drugiej połowie XX wieku pełna jest przykładów przywódców niepodległościowych, którzy doszli do władzy, żeby służyć, i przysięgali wyzwolić swój lud od tyranii czy kolonialnej przeszłości, a potem sami stawali się gorsi od swoich poprzedników. Niektórzy przez dziesięciolecia odmawiali opuszczenia urzędu. Mandela stanowi tutaj chwalebny wyjątek kogoś, kto już w pierwszym dniu urzędowania przyrzekł, że nie będzie rządził więcej niż jedną kadencję. Zgodnie z obietnicą ustąpił w 1999 roku i starał się być osobą prywatną, pozostając orędownikiem na rzecz pokoju, negocjacji i pojednania, przełamując bariery rasowe między ludźmi.



Człowiek, który nie szukał odwetu

Madiba, bo tak był powszechnie nazywany na znak respektu (od nazwy jednego z klanów ludu Xhosa), postrzegany był jako Ojciec Narodu. Nieodłącznym elementem jego geniuszu była jego osobowość. Jednego dnia jawił się jako staromodny angielski arystokrata, innego jako namiętny przywódca rewolucyjny, a trzeciego jako światowy mąż stanu.

Dzięki wartościom, które poznał jako dziecko, a także dzięki temu,

czego nauczył się od misyjnych nauczycieli, rozumiał urok starego świata opartego na tradycji i hierarchii. Potrafił zbesztać posłów w niemieckim Bundestagu za nienoszenie krawatów w tak godnym miejscu, a także pouczyć swoich ministrów, żeby wzięli się do pracy, bo cierpliwość ludzi ma swoje granice. Miał odwagę dać wykład na temat punktualności tym, którzy spóźnili się chociaż minutę na spotkanie.

Był powszechnie szanowany przez innych światowych polityków. Kto jeszcze mógłby zadzwonić





do królowej angielskiej i zwracać się do niej po imieniu: „Elizabeth”? Jego uśmiech emanował radością kogoś, kto doceniał każdy dzień życia jako dobrodziejstwo. Pytany o to, jak poradził sobie z urazą wobec tych, którzy w brutalny sposób kierowali jego losem, napisał: „Wiedziałem, że ludzie spodziewają się, że będę żywił gniew do białych, ale ja nie miałem żadnego. W więzieniu moja złość do białych zmniejszyła się, ale wzrosła nienawiść do systemu”.

Wierzył w dawanie przykładu. Był to pożegnalny dar o nieocenionej wartości dla raczkującej demokracji. Był rzeczywiście Ojcem Narodu. Nie stawiał siebie na piedestale i pewnie dlatego należy do panteonu wielkich przywódców XX wieku. Powszechnie jest uważany za ikonę demokracji i sprawiedliwości społecznej.

Nelson Mandela żył długo – 95 lat – i nie był ani tyranem, ani skorumpowanym afrykańskim watażką. W ciągu ostatnich trzech dekad swojego życia stał się

symbolem przyzwoitości i pojednania, dosłownie wyciągając rękę do wszystkich w tym jakże ponurym systemie zwanym apartheidem. Do końca pozostał postacią niezmiennie ludzką, kochającą życie i uśmiech, uczuloną na potrzeby innych, zatroskaną zwłaszcza o zdrowie i edukację dzieci. Dziedzictwo Mandeli to wytrwałość w walce, przebaczenie w pojednaniu i odwaga w podejmowaniu decyzji. Dzięki sile swojej osobowości i własnemu przykładowi Mandela utwierdzał wszystkich w przekonaniu, że pojednanie naprawdę jest możliwe.

„Nikt nie rodzi się, by nienawidzić innej osoby ze względu na kolor skóry, pochodzenie czy religię” – napisał Mandela w swojej książce „Long Walk to Freedom” (Długa droga do wolności). „Ludzie muszą nauczyć się nienawidzić, a jeśli mogą nauczyć się nienawidzić, można ich nauczyć kochać, ponieważ miłość przychodzi do ludzkiego serca bardziej naturalnie niż jej przeciwieństwo”.

Nelson Mandela zmarł w swoim domu w Johannesburgu 5 grudnia 2013 roku. Jego życie jest inspiracją dla wszystkich uciśnionych i pokrzywdzonych, a jego pogrzeb miał wymiar ponadnarodowy, wręcz światowy i był manifestacją jego popularności. Zapewne jeszcze na długo pozostanie Ojcem Narodu dla tych, którzy po nim będą realizować ideał społeczeństwa sprawiedliwego i bez rasowych podziałów. ■

Apartheid był systemem politycznym ustanowionym w RPA przez Partię Narodową, która rządziła krajem nieprzerwanie od 1948 do 1994 roku. Apartheid, co oznacza „odrębność”, był praktyką oficjalnej segregacji rasowej w każdym aspekcie życia. W ramach apartheidu wszyscy w RPA musieli być klasyfikowani według określonej grupy rasowej. Klasyfikacja ta określała, gdzie ktoś może się urodzić, gdzie może mieszkać, gdzie może chodzić do szkoły, gdzie może pracować, gdzie może się leczyć i gdzie można go pochować, kiedy umrze. System ten charakteryzował się wyjątkową niesprawiedliwością społeczną – jedna grupa (biali mieszkańcy) posiadała wszystkie przywileje, a pozostali (inne rasy) byli pozbawieni podstawowych praw.

FAKTY Z ŻYCIA NELSONA MANDELI

1. W młodości Nelson Mandela lubił boks i biegi długodystansowe. Nawet w ciągu 27 lat spędzonych w więzieniu ćwiczył każdego ranka. Wśród pamiątek w Muzeum Rodziny Mandeli w Soweto zwiedzający mogą znaleźć pas oddany Mandeli przez amerykańskiego mistrza świata w boksie Sugara Raya Leonarda.
2. Po zejściu do podziemia Mandela przebierał się za szofera, ogrodnika i szefa kuchni, aby podróżować po kraju niezauważony przez władze.
3. Miał własną firmę prawniczą, ale uzyskanie dyplomu prawniczego zajęło mu lata. Mandela studiował prawo z przerwami przez 50 lat od 1939 roku. Przez niechęć egzaminatorów nie zaliczył około połowy kursów, które ukończył. W sierpniu 1952 roku wraz z Oliverem Tambo założyli w Johannesburgu pierwszą w RPA kancelarię prawniczą „Mandela and Tambo” prowadzoną przez rdzennych Afrykańczyków. W końcu uzyskał dyplom prawnika podczas pobytu w więzieniu w 1989 roku.

4. Będąc w więzieniu, Mandela pozostawiał notatki w pustych pudełkach po zapalniczkach i pod stosami brudnych naczyń. W ten sposób pomimo całkowitej izolacji zdołał zorganizować strajk głodowy wśród więźniów, by poprawić warunki życia na Robben Island.

5. Podczas pobytu w więzieniu Mandela czytał współwięźniom wiersz „Invictus” Williama Ernesta Henleya, z którego czerpał inspirację. Film pod tym samym tytułem został nakręcony w 2009 roku, a główną rolę Mandeli odtwarza w nim Morgan Freeman.

6. Kiedy Mandela był więźniem na Robben Island, nosił numer 46664. Po wyjściu z więzienia Mandela oddał swój numer globalnej kampanii zapobiegania HIV/AIDS. Ambasadorami kampanii 46664 są muzycy, artyści i sportowcy, którzy zobowiązali się wspierać kampanię uświadamiania o zagrożeniach wynikających z HIV/AIDS.

7. Jeden z jego synów zmarł z powodu AIDS. Publiczne oświadczenie Mandeli o stanie zdrowia jego syna pomogło przełamać piętno tej choroby w RPA.

REKLAMA

SŁODYCZE...
NA BOŻĄ CHWAŁĘ

BOGU
chwałki



Pełna oferta Słodczy na... Bożą chwałę na: www.rafael.pl oraz pod nr tel.: 661 128 006



Sangoma KONTRA Ewangelia

ks. Zbigniew CHWAJA SCJ

Wiele Kościołów o mocnym zabarwieniu afrykańskim stosuje synkretyzm pomiędzy praktykami chrześcijaństwa a tradycyjnymi religiami afrykańskimi. Tradycja ta kładzie nacisk na praktyki związane z uzdrowieniem fizycznym i duchowym. Jej osobową reprezentacją jest w tradycji zuluskiej sangoma, która pełni funkcję swego rodzaju szamanki.

Jednym z najbardziej fascynujących, a zarazem inspirujących aspektów pracy misyjnej jest możliwość bliższego zapoznania się z historią i kulturą ludzi, wśród których przychodzi nam mieszkać i pracować. Te dwa aspekty – historia i kultura, a właściwie wiele kultur w takim kraju jak RPA – wydają się szczególnie interesujące. Kościół Katolicki w swojej ewangelizacyjnej misji stara się wplatać je zarówno w liturgię, jak i edukację następnych pokoleń.

Rys historyczny Kościoła w RPA

Historia Kościoła Katolickiego w Afryce Południowej rozpoczyna się wraz z przybyciem do Walvis Bay Bartłomieja Diaza 8 grudnia 1487 roku. To on nazwał to miejsce Golfo de Santa Maria de Conceição, czyli Zatoką Matki Bożej Niepokalanego Poczęcia. A 10 lat później Vasco da Gama w drodze do Indii dokładnie w Boże Narodzenie zobaczył ziemię, której nadał nazwę Tierra de Natal, czyli Ziemia Bożego Narodzenia (Natal). Odkrywcy ci przywieźli ze sobą do tego kraju pierwszych katolickich misjonarzy.

Następnie pod rządami Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej przez prawie dwa wieki katolicyzm był w Afryce Południowej zakazany. Nowy świt nadszedł wraz z mianowaniem w 1837 roku w Cape Town pierwszego katolickiego biskupa Raymonda Griffitha, dominikanina. W ten sposób w pełni zaczęła kształtować się historia Kościoła Katolickiego w RPA.



Pierwsze znaczące sukcesy ewangelizacyjne przyniosła obecność trapistów z Mariannhill w latach 80. XIX wieku pod przewodnictwem opata Franza Pfannera, który jest obecnie kandydatem na ołtarze. Opracowali oni innowacyjne metody misyjne, łączące rolnictwo, edukację i nauczanie katechizmu. Mówiąc inaczej, pomagali prostym ludziom w wioskach i pokazywali, w jaki sposób uprawiać ziemię, a przy tym przekazywali wiarę katolicką. Wysiłki te doprowadziły do nawróceń i przyczyniły się do wzrostu katolicyzmu w prowincji KwaZulu-Natal.

W tamtym okresie Kościół w RPA w dużej mierze polegał na wsparciu duchownych z zewnątrz, a więc misjonarzy. Ważnym wydarzeniem w historii rozwoju katolicyzmu w tym kraju było powstanie pierwszego seminarium duchownego w 1948 roku w Aliwal North, do czego w dużym stopniu przyczyniła się praca Księżąt Sercanów

na tym terenie. To sercańscy zakonnicy ze Stanów Zjednoczonych, Niemiec, a nieco później z Polski przyczynili się do ewangelizacji centralnej części RPA.

Obecnie rysem charakterystycznym Kościoła Katolickiego w RPA jest zdecydowana przewaga Afrykańczyków, którzy stanowią około 80% duchownych. W całym kraju dominują jednak wyznania protestanckie. Katolicy stanowią zaledwie 7% społeczeństwa. Republika Południowej Afryki nigdy nie miała oficjalnej religii państwowej. Konstytucja kraju wyraźnie określa prawo każdego do wolności sumienia, religii, myśli i przekonań.

Kościół Katolicki a tradycyjne wierzenia afrykańskie

Nauczanie chrześcijańskie znane jest od dwóch tysięcy lat, ale w południowej części kontynentu afrykańskiego jest stosunkowo młode,



bo sięga wstecz zaledwie niecałe 200 lat. Pierwsze kontakty ludności tubylczej z misjonarzami nie należały do udanych, ale dosyć szybko tutejszy młody Kościół otworzył się na misyjny przekaz Ewangelii Chrystusowej. Od początku jednak było jasne, że nowe podejście do wartości i obyczajów będzie poważnym zagrożeniem dla dotychczasowego sposobu życia i wierzeń miejscowej ludności.

Większość afrykańskich katolików jest odbiciem społeczeństwa,

które przechodzi swoistą transformację. Z jednej strony wierzy i przyjmuje nauczanie Kościoła, wiarę w Boga i łaskę sakramentów, z drugiej jednak dziedzictwo kulturowe i presja społeczności lokalnej, zwłaszcza w wioskach, nadal ma ogromny wpływ na tutejszą mentalność. Wiele Kościołów o mocnym zabarwieniu afrykańskim stosuje synkretyzm pomiędzy praktykami chrześcijaństwa a tradycyjnymi religiami afrykańskimi. Tradycja

ta kładzie nacisk na praktyki związane z uzdrowieniem fizycznym i duchowym.

Niektóre z tradycyjnych afrykańskich religii w dalszym ciągu podtrzymują wśród Afrykańczyków przesady i wiarę w nieograniczony wpływ przodków na ich życie tutaj na ziemi, manipulując często prostymi ludźmi i budząc w nich strach. Dla Afrykańczyka kult przodków to coś znacznie więcej niż zwykły rytuał.

Sangoma

W tradycji zuluskiej, a więc wśród największej grupy etnicznej w kraju, istnieją specjaliści mediatorzy zwani „sangoma”, którzy są odpowiedzialni za „uzdrowienia” fizyczne i duchowe, a także poradnictwo dotyczące przyszłości. Najczęściej funkcję tę pełnią kobiety, które otrzymały specjalne powołanie, zostały wybrane przez duchy przodków, żeby ich reprezentować. Sangoma wyraża afrykański sposób patrzenia na świat, jest kwintesencją afrykańskiego i tradycyjnego plemiennego funkcjonowania. Stoi niejako ponad wspólnotą, góruje nad nią wpływami i siłą duchową oraz wpływa na losy poszczególnych ludzi. Wielu katolików nadal czuje się nieswojo w obecności sangomy, obawiając się jej czarów. Większość jednak zasięga ich porad i praktykuje nakazy, często tylko ze strachu.

Sangoma to także osoba znająca się na ziołolecznictwie i potrafiąca leczyć *african diseases*, czyli afrykańskie choroby. W rozumieniu

Afrykańczyków choroba zawsze jest wynikiem złej woli drugiego człowieka, zmarłego przodka czy też nieprzyjaciela. Ten dziwny dla Europejczyka sposób tłumaczenia i rozumienia choroby jest głęboko zakorzeniony w afrykańskim sposobie interpretowania wydarzeń.

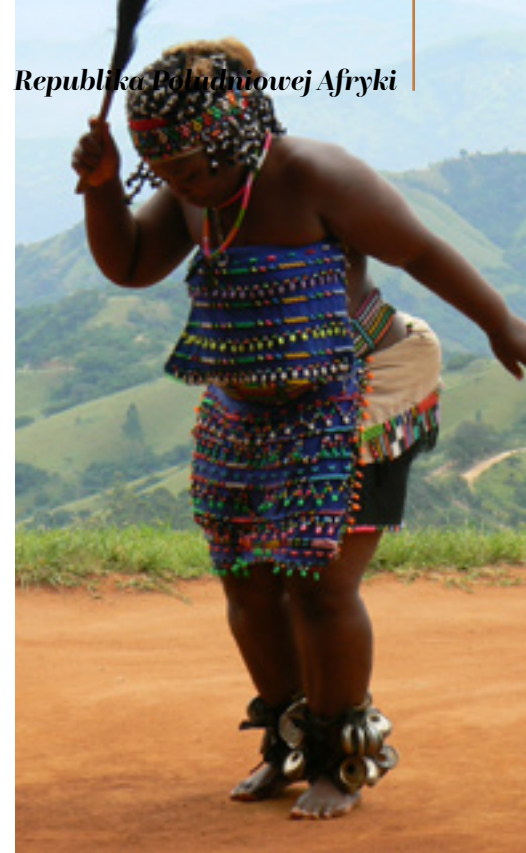
W tym względzie istnieje zasadnicza różnica w odniesieniu do tego, w jaki sposób dokonuje się uzdrowienie duchowe człowieka. Dla chrześcijanina dokonuje się to przez moc pochodzącą od Syna Bożego Jezusa Chrystusa, poprzez znaki sakramentalne i łaskę z nich płynącą, podczas gdy w kulturze afrykańskiej staje się to możliwe za przyczyną zmarłych przodków.

Dwa światy

Chrześcijaństwo powoli zmienia mentalność ludzi i zmusza ich do przemiany obyczajów. Nie ulega wątpliwości, że te dwa systemy

rozumienia i tłumaczenia ludzkiej egzystencji stoją ze sobą w dużej mierze w sprzeczności. Dlatego katolicy należą niejako do obu tych cywilizacji. Z jednej strony przyjmują zachodnie rozumienie teologii z akcentem na osobę Jezusa Chrystusa jako „uzdrowiciela”, a z drugiej wciąż jest im trudno zupełnie uwolnić się od przesądów i rozumienia świata na sposób afrykański, ze szczególną rolą przypisywaną władzy przodków. Próbując eliminować mity i przesady, trzeba być przy tym ostrożnym i taktownym.

Transformacja i zmiana, jaką przynosi ze sobą chrześcijaństwo, jeszcze się nie zakończyła i nie zakorzeniła na tyle, żeby misjonarze mogli spocząć na laurach. Proces ten zapewne trwać będzie jeszcze przez lata, ale aby był udany, musi dokonać się z poszanowaniem kultury ludzi, do których kieruje się Ewangelia. Jeden aspekt głoszenia Ewangelii w Afryce wydaje się niepodważalny:



wiara w wielki wpływ przodków (w naszym rozumieniu świętych) na losy żyjących nie zostanie w zdecydowany sposób odrzucona, stąd też potrzebny jest dialog z tymi, do których skierowane jest przesłanie ewangeliczne Kościoła.

Obserwując codzienność przeciętnego Afrykańczyka-katolika, moglibyśmy powiedzieć, że ta transformacja dokonała się w teorii, ale w praktyce wierzenia i kult przodków nadal odgrywają wiodącą rolę w rozumieniu świata i jego przeznaczenia. Przykład misjonarzy, ich wiara, oddanie Bogu i ludziom, a także szacunek okazywany tym, którym służą, mają ogromny wpływ na ugruntowanie pozytywnego obrazu wiary katolickiej i Kościoła powszechnego. Taka postawa dała podwaliny pod zakorzenienie się i rozwój wspólnoty katolickiej w RPA. ■



Okiem reportera

Krew Aczoli – o pokoleniu TRAUMY

Krzysztof BŁAŻYCA

UWAGA! Artykuł zawiera drastyczne opisy

dostarczano. Nierzadko dzień po dystrybucji pojawiała się LRA. Rabowała wszystko. W Pabo były przypadki, że ludzie otrzymywali do jedzenia *posho* z kawałkami rozdrobnionego szkła. Czy zrobiono to specjalnie, kto za tym stał?

Oczywiście miałem świadomość, że trafiam do kraju naznaczonego wojną. Akurat w tym okresie LRA miała swoje bazy na terenie Sudanu. Były nadzieje, że złożą broń, ale niestety, oni tylko się przegrupowali, pozyskiwali finanse i ciężki sprzęt z Chartumu. (...)

– Duch Święty przemówił do mnie! – deklarował Kony. *Lakwena* się objawił.

Wzięli naszych do buszu, Omero i Ladino... Tam im powiedzieli, że walczą o Dziesięć Przykazań i że oni mają ludzi nauczać tego samego. Groteskowa kompilacja wierzeń – ci na to odpowiedzieli; więc kazali im się zamknąć.

Teraz, pomimo spokoju, te wszystkie problemy rebelii ciągle powracają. Co z nimi robić? Ludzie myślą: „Oni byli nasi”. Kiedyś. A dzisiaj? Życie już nie ma wartości. Zniszczone. Teraz mają duchy, a siebie posyłają do piekła. W tradycji Aczoli rzeczy trzeba załatwiać pokojowo. A to nie jest łatwe. Starzy ludzie uważają, że całe zło się rozlało wśród Aczoli przez działanie złych duchów...

Znam przypadki dziewcząt zabranych do buszu jak dobra użytkowe, rozdzielane pomiędzy dowódców. Wiele słuchałem tych historii. W rozmowach osobistych,

gdy przychodzili po pomoc i gdy chcieli wyznać ciemność, jaką zalegała w ich duszy. Tych, którzy musieli zabijać pod presją, a potem już to robili odruchowo. Mali chłopcy, mieli 11, 12 lat. I dziewczynki, tak, dziewczynki również...

Na przykład taka Betty... Bała się używać maczety, bo duch zabitej osoby mógłby do niej powracać, ale gdy miała karabin, to naprawdę jej się podobało, bo to przecież nie ona, lecz broń sama zabijała ludzi odrzuconych przez Boga, tak mówiła... (...)

Była kobieta zabrana do buszu, zniszczona kompletnie. Staraliśmy się jej pomóc, mały biznes, sprzedaż ziemniaków, cebuli, aby miała co robić, ale poddała się, nie potrafiła... Jak pomóc w tej frustracji, uzależnieniach, traumie? Oni widzieli to wszystko, widzieli za wiele...

Aż nastał czas przyrządzania naparów z gorzkich ziół i smarowania ciał olejem z orzechów drzewa *shea*. Rytuały oczyszczania duszy i pamięci (...). *Rwodi*, szefowie wioski, przeprowadzali kolejnych chłopców i dziewczęta przez obrzędy *mato oput*. Ci ocalali od piekła stawali wobec niego raz jeszcze, by stać się wolnymi od winy i przekleństwa wioski, choć nie od przeszłości. A przecież musieli żyć. Więc tańczyli. O tak, tańczyli, dzieci i dorośli, wszyscy tańczyli *bwola*, zobacz...

Dzieci spędzały dnie i noce w ośrodkach pomocy. Były przyjmowane z wyrozumiałością. Dzieci z brzemieniem ciążyących na nich

To był czas terroru, życia na łasce rebeliantów i żołnierzy. Przyszli, zajęli żyzne tereny, pozakładali obozy. Kukurydza, fasola, rejon pod bronią... Robili na tym pieniądze, roznosili AIDS, kolekcjonowali kobiety, a ludzie jedli szczury, myszy... (...) Do obozów wysiedlono prawie dwa miliony osób. Porzucone domy porósł busz, na polach grasowały zwierzęta. Chaos, głód, rozboje, gwałty...

Wojсковe wozy pancerne dostarczały żywność. Ironią losu ochrona żywności była ważniejsza niż obrona tych, dla których ją



zbrodni, jęczące nocami, dręczone przez koszmary, lękające się duchów zabitych, *lacen*, które teraz mogły i miały prawo przypominać, piętnować... Były też słowa zapewnień, że cokolwiek uczyniłeś, byłeś zmuszony do tego. To nie twoja wina. Nie jesteś złym dzieckiem. Wciąż cię kochamy. Wróć do nas, wioska cię przyjmie, czekamy, wróć, zaczniemy żyć od nowa...

Minęło dziesięć lat od ostatnich strzałów. Walka wygrana, lecz czy wojna? Kony wciąż się ukrywa, a w Gulu dokonuje się codzienność sumień układających się ze wspomnieniami. Są pijane noce w mundurach i dziewczyny uciekające po drogach. Za dnia kobiety siedzą na matach, sprzedając kassawę, *matoke*. Dzieci biegają. Ujadają psy.

Ludzie wciąż pamiętają bestię, która nie tak dawno temu grasowała

na polach, gdzie porozrzucane groby przykrywają szczątki ukochanych. Dziesięć lat to niewiele... To niewiele...

– ...tu wciąż tyle traumy... tyle już widziano. – Monica kładzie na stole opatrunki i butelkę sody. – W wioskach prawie wszyscy byli świadkami tortur. Trupy leżały w rowach. Elio jeździł więc po okolicy i zabierał ciała. Elio jest tutaj poważany. Dla ludzi on jest Aczoli. I Ramon... Byli tam. I w Kalongo zapytaj, gdzie w kościele Królowej Różańca schronili pozostałych, zanim przyszli rebelianci...

Świerszcze tak głośne... I wieczór tak ciepły...

STEPHEN. *Wajolowu awobe...* witajcie, chłopczy!

Stephen miał 16 lat. To się zdarzyło 11 maja, w 2003 roku. Był wtedy

uczniem Sacred Heart Secondary School.

– ...przygotowywaliśmy się do egzaminów kończących semestr. Tego dnia było już trochę zamieszek, dochodziły strzały. Po kolacji udaliśmy się do pokoi. Ja byłem chory, na lekach, miałem gorączkę, więc położyłem się wcześniej od pozostałych z nadzieją, że nad ranem wszystko się wyciszy, a ja będę czuł się lepiej. Obudziłem się około północy. Usłyszałem strzał. Potem kolejny. Jeden z kolegów wyskoczył z łóżka. Powiedział, że to mogą być rebelianci. Spytałem, skąd może być pewny. Powiedział, że nie jest pewny, ale tak czuje...

Kolejne strzały... Wróciłem do łóżka, przykryłem się. Strzały były coraz bliżej naszego dormitorium. Składało się z czterech segmentów. W tym czasie nasze seminarium służyło już jako miejsce

schronienia dla ludzi, którzy uciekali z wiosek. Kobiety, dzieci, mężczyźni przychodzili do nas. Spali na werandzie, w klasach, bibliotece. Bali się LRA.

Tej nocy przyszli rebelianci. Wybili szyby, zaczęli świecić latarkami po klasach. Jeden z naszych wyłączył wcześniej główne oświetlenie. Zaczęli krzyczeć waczoli: „*Yabo dogola! Yabo dogola!*”, co znaczy „Otwierać drzwi, otwierać!”. Ale nikt się nie ruszał. Wszyscy byli w strachu.

Ostrzelali nas od zewnątrz. Na szczęście nikt nie zginął. Schowałem się pod łóżkiem. Otworzyli drzwi, prawdopodobnie siekierą. Weszli do pomieszczeń. Zobaczyłem wojskowe buty. Świecili latarkami. „Wychodź! Wychodź!” Chwycili mnie za nogę i wyciągnęli. Usłyszałem przeładowanie broni. „Wychodź albo cię zastrzelę!” Wyszedłem. Świecił mi latarką w oczy. „Siadaj!” Usiadłem na łóżku. Zaczęli mnie wiązać. Wtedy zobaczyłem, jak zabijają kolegę. Uderzyli go kilka razy pangą [rodzaj maczety].

Rabowali wszystko. Kazali nam pakować walizki. Związali nas i wyprowadzili na zewnątrz, poza ośrodek. Na pobliskim boisku zobaczyliśmy 17 młodych dziewcząt. Przyszły do naszego seminarium, szukając schronienia. Zabrali je...

Zaczęli przepakowywać zrabowane rzeczy. Jedna z dziewcząt była chora. Prosiła, aby pozwolili jej zostać. Wtedy jeden z rebeliantów zapytał: „Która to ta, co narzeka?”

Tamta niewinnie podniosła rękę do góry. Kazał jej podejść do siebie i wtedy pięć razy uderzył ją w twarz. Powiedział, żeby nigdy nie mówiła tak głupich rzeczy, w przeciwnym razie ją zabije.

Ruszyliśmy. Szliśmy całą noc, coraz głębiej w busz. Gdy nastał ranek, byliśmy głęboko w buszu. Nie znałem okolicy. Marsz trwał aż do około południa. Wtedy zarządzili postój pod drzewami mango. Mogliśmy usiąść. Tam było wiele mango, cały las mango. Zebrali, abyśmy zjeśli. I ruszyliśmy dalej. Aż do drogi...

Idąc, mijaliśmy ludzi. Wiedzieli, że to byli rebelianci. Ci kazali im oddawać pieniądze, więc ludzie oddawali. Szliśmy dalej. Przez cały ten czas myślałem, czy wojsko było powiadomione. Zobaczyliśmy śmigłowiec. Rebelianci kazali się nam schować do lasu, położyć na brzuchach. Kiedy helikopter odleciał, ruszyliśmy dalej. Jeden z kolegów spróbował wtedy uciec. Myślę, że właśnie wtedy, gdy leżał, po cichu udało mu się oswobodzić z więzów. Niestety rebeliant, ostatni w tej grupie, widział go, jak próbował się poruszać. Doszedł do niego, uderzył. „Próbujesz uciec? Zabiję cię!”

Kazał mu się położyć na ziemi. Założył bagnet na AK i pchnął go trzy razy w plecy. Potem powiedział do nas: „Ten człowiek próbował uciec, teraz wy tu przyjdziecie i zadepczecie go na śmierć”. Ja odmówiłem i wróciłem do grupy, ale kilku moich kolegów w strachu przed śmiercią poszło. I zadeptali go... „Wystarczy!”, powiedział. „Następnym razem, jak



ktos będzie próbował uciec, nie zawahamy się i jego zabiję”. Ruszyliśmy dalej...

Było około 18:00, gdy dotarliśmy do obozu. To był obóz szkoleniowy dla porwanych. Wielu tam było. Komendantem tej dużej grupy był Onen Kamdun. Gdy tam dotarliśmy, siedział pod drzewem wraz z młodszymi komendantami. Miał długie włosy, splecione w warkoczyki. Był w wojskowym mundurze. Gdy stanęliśmy przed nim, powiedział w aczoli: „*Wajolowu awobe – welcome boys*” (witajcie, chłopcy). Oczywiście nikt z nas nie odpowiedział.

Mówił dalej: „Słyszałem od moich żołnierzy, że niektórzy z was odmówili, stawiali opór. Którzy to?”. Ale my cały czas milczeliśmy. Osobiście nie widziałem nic takiego... Może to było w innej części naszego seminarium... Wtedy powiedział

coś, co nas przeraziło: „Czy mam wybrać spośród was trzech, których zabiję, abyście się przekonali, do czego jesteśmy zdolni?” (dosłownie powiedział „*how serious we are*”).

Pytał o szczegóły, skąd pochodzimy, o miejsce, gdzie zostaliśmy zwerbowani, kim są nasze rodziny. Potem wziął jeden ze zrabowanych albumów z naszymi zdjęciami, zdjęcia rodzinne, spotkania, wspólna gra w futbol. Przeglądał... Zaczął nas rozdzielać pomiędzy innych komendantów. Jeden z nich podszedł do mnie i mojego kolegi, który miał na imię Patrick. Powiedział: „Ty i ty”. Zabrał nas.

Poszliśmy za nim. Dookoła słychać było strzały. Patrick był słaby i upadł. Ten zaczął go bić, aż Patrick stracił przytomność. Gdy dotarliśmy do obozu, zobaczyliśmy pięć dziewcząt. Też były zrekrutowane. Na miejscu ten, co nas prowadził, powiedział, że mamy usiąść i się zrelaksować. I że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko będziemy robić, co nam każą. Potem mówili nam, że porwania to sposób,



w jaki rekrutują. Że oni nie mają pieniędzy tak jak armia, dlatego stosują takie metody. Większość tych, których tam spotkaliśmy, została uprowadzona. *So, that is how this system works.*

Następnie powiedział: „Teraz idziemy się modlić”. Musieliśmy ściągnąć ubrania. Wysmarowali nas olejem *shea*. Potem uczynili znak krzyża na naszych ciałach. Na klatce

i na plecach. „Teraz jesteście jednymi z nas”, powiedzieli. I dodali, że jeśli podejmiemy głupie decyzje ucieczki, to nas zabiją. Bo jedyną karą jest śmierć. Nie wierzyłem, dopóki nie zobaczyłem na własne oczy.

W pewnym momencie podzielili oddział na dwie grupy, które rozeszły się w przeciwnych kierunkach. Nas, porwanych z seminarium, było czterdziestu jeden. Rozdzielili nas. Był tam mój przyjaciel, John Baptist. Graliśmy razem w futbol. To był ostatni raz, kiedy go widziałem...

W tym momencie głos Stephena się załamuje. Słowa mu się rwą, z jego oczu płyną łzy...

– Powiedział... „Mój przyjacielu... żegnaj”... To był mój przyjaciel... naprawdę dobry przyjaciel... Wtedy widziałem go ostatni raz...

Cisza... Obok ławki, na której rozmawiamy, przechodzi grupa dzieci...

Rebelia Armii Bożego Oporu – wojna partyzancka prowadzona od 1987 roku przez Armię Bożego Oporu (LRA), głównie w północnej Ugandzie. Ruch kierowany przez Josepha Kony’ego, który sam siebie ogłosił prorokiem i głosem Ducha Świętego. Działania zbrojne miały na celu obalenie rządu Yoweriego Museveniego i ustanowienie teokratycznego państwa opartego na dziesięciu przykazaniach oraz wierzeniach afrykańskich.

LRA zabiła kilkadziesiąt tysięcy osób. Konflikt ten, jeden z najdłuższych trwających w Afryce, spowodował potężny kryzys humanitarny. LRA jest oskarżana o łamanie praw człowieka, w tym okaleczenia, tortury, gwałty, masakry, porwania dzieci, które były siłą wcielane do armii.

– Gdy nas rozdzielili, zostałem jedynym z naszej szkoły. I w tym okresie wiele się zdarzyło... Wiele złych rzeczy... Byłem świadkiem... Atakowały nas rządowe helikoptery, więc byliśmy w ciągłym ruchu. Chowaliśmy się.

Podczas jednej z takich akcji pewien młody chłopak spróbował ucieczki. Złapali go. Gdy potem dotarliśmy do obozu, ja z innymi przygotowaliśmy lunch. Siedzieliśmy pod drzewem. Wtedy usłyszałem, jak zaczęli bić tego chłopaka. On krzychał: „Przebaczenie mi!”... Ale oni kopali go cały czas i bili kijem. Przeraziłem się. Wtedy jeden z nich, Collin miał na imię, który był odpowiedzialny za radio, powiedział nam: „Zostańcie tu. Słyszeliście, co się stało? Ten chłopak próbował uciec. Teraz go zabijają. Każdy był w szoku. (...)”

W tym okresie uczyli nas, jak trzymać broń, używać jej, jak ją składać. Po takim przeszkoleniu wybierali jedną osobę, aby pokazała, że jest gotowa walczyć. Ja łapałem te rzeczy szybko. Mówili mi: „Będiesz dobrym dowódcą w przyszłości”. Pomędzy nimi były też dziewczęta, które miały broń. I było wiele dzieci. Większość stanowiły dzieci...

Pamiętam dziewczynę, która próbowała uciec. Mogła mieć 13 lat. Oddawali ją różnym dowódcom, służyła w kuchni, musiała też walczyć. Tamtego dnia udała się nad rzekę z inną, która była żoną Odhiambo. Poszły pracować. Po drodze powiedziała jej, że jest zmęczona takim życiem, przesycona

tym szaleństwem i że ucieknie przy pierwszej okazji. „Jesteś świadoma konsekwencji?”, spytała ta od Odhiambo. „Nie dbam o to, mam tego dość”, odpowiedziała tamta.

Niestety tę rozmowę usłyszał jeden z ludzi Odhiambo. Jeden z tych, co byli rozlokowani jako strażnicy na drzewach. Doniósł na te dziewczyny. Gdy one wróciły do obozu, wszystko toczyło się normalnym trybem, do czasu gdy Odhiambo wezwał je do siebie. Spytał o rozmowę nad rzeką. Dziewczyny zaprzeczyły. Wtedy Odhiambo posłał po tego, który podsłuchiwał rozmowę. Był wściekły. Swoją „żonę” kazał pobić, a tę, która chciała uciec, kazał zabić.

Ja akurat gotowałem milet i kassawę. Powiedzieli mi: „Chodź, chodź, coś się dzieje”. Zobaczyliśmy dowódcę. Mówił: „Ta dziewczyna chciała uciec. Teraz wy macie ją zabić”. Ona milczała, cała

w strachu. Nic nie mówiła. Krzyknęła: „Na co czekacie, rekruci? Zabić ją!”. Chwycili kije, kamienie, zaczęli...

Starałem się wycofać i wtedy on krzyknął: „Stać!”. Popatrzyli na mnie. Ponieważ byłem porwany z seminarium, mówili na mnie „ksiądz”. Odhiambo powiedział wtedy: „Ten ksiądz jeszcze nikogo nie zabił, od kiedy jest z nami. Teraz ma swoją szansę. Wykończ ją”. Tłum powtórzył: „To prawda, nie zabił nikogo, wykończ ją. Uderz w głowę”.

„Nie, nie mogę, to szaleństwo...”, broniłem się. „Kwestionujesz nasze rozkazy?” Milczałem. Wtedy kazał im zabić mnie. Uderzyli mnie w plecy. Upadłem. Zaczęli mnie okładać. „Albo ją wykończysz, albo my wykończymy ciebie!” Leżałem skulony na ziemi. Uderzyli mnie w głowę, w kark. Potem w żołądek. Ból przeszył mi ciało. „Zabij, zabij albo zabijemy ciebie!” Bili





mnie bez końca, aż z bólu krzyknąłem. „OK, zrobię, co chcecie, tylko mnie już nie bijcie”. „Wstawaj! *Get up! get up!*”

Gdy byłem na kolanach, powiedzieli: „Wciąż odmawiasz?”. I ponownie uderzyli mnie w plecy. „Wykończcie ich obu!”, usłyszałem. A ona patrzyła, jak mnie bili i jak w końcu zgodziłem się ją zabić. Nie miałem wyboru. W moim sercu myślałem: „To sprawa życia i śmierci. Jeśli odmówię, oboje zginemy”. Nie miałem wyboru, jak tylko zabić tę niewinną, przestraszoną dziewczynę, która była tak samo porwana jak ja. Wiele myśli burzyło się we mnie. Tylko Bóg wie, co się we mnie działo. Ale aby żyć, musiałem zrobić to, czego ci ludzie chcieli ode mnie. Wziąłem pangę, a oni krzyczeli: „*Yeah! Yeah!* Bądźmy tego świadkami, bądźmy świadkami, jak ksiądz zabija człowieka!”. Stałem na nogi. „Uderz ją, uderz!!!”

Widziałem ją, niewinną. Boże, przebac! Zamknąłem oczy i podniosłem pangę, aby ją uderzyć. Wtedy ktoś mnie chwycił z tyłu, wykręcił

mi rękę i znowu upadłem. Usłyszałem śmiechy. Wszystkie siły mnie opuściły. Ktoś krzyknął: „On jest tchórzem! Zabijcie ją!”

Rzucili się na nią. Widziałem. Leżałem na ziemi. Słyszałem, jak ją biją. Wstałem po wszystkim. Jej głowa była roztrzaskana. Nie można było jej rozpoznać. Ci ludzie są obłąkani... *These men are crazy people...*

BRENDA. Te dzieci... one były niewinne...

Rozpoczyna jak wszyscy tutaj. Imię, nazwisko, rodzina, dzień... Korzenie są ważne. Czas i miejsce. Osoby. Wydarzenia...

– Urodziłam się w 1986 roku, gdy Museveni przejmował władzę. Prawie całe me życie to wojna. Rodziców rozdzielono. Dzieciństwo spędziłam z ojcem. Było ciężko. Pamiętam, że gdy przychodzili rebelianci, kobiety w wiosce ostrzegały: „Uważaj, bo mogą cię porwać”...

Nocami ludzie chronili się w kościołach i szpitalu. Wielu

uciekało do buszu i tam spali. Pewnej nocy rebelianci dosłownie przeszli obok nas. Miałam szczęście. Nie zostałam porwana. Wiele mych przyjaciółek tak...

Byłam świadkiem strasznych rzeczy. Te obrazy wciąż mam w pamięci. Widziałam, jak wujkowi odcięli nogi i ręce. Czekali, aż się wykrwawi. Chcieli, aby umierał w bólu. (...)

Wiesz, ci rebelianci to byli młodzi chłopcy. Starsi wydawali rozkazy młodszym. Porywali inne dzieci. Dziewczynki i chłopców. Zabierali do buszu. Dziewczynki używali jak kobiet. Z chłopców robili żołnierzy. Jak kazali zabić, to musiałeś zabić. Jeśli odmówiłeś, zabijali ciebie. Nie bali się zabijać. Ci chłopcy mieli zabijać. Mieli zabijać wszystkich. (...)

Pytali: „Ilu chce się śmiać? Pomiedzy milczeniem a śmiechem – wybieraj!”. Wybrałeś milczenie – wkłuwali ci kłódkę w usta. Chciałeś się śmiać – wycinali ci uśmiech, aż do dziąseł. Ludzie mają te znaki do dziś.

Moją przyjaciółkę zabrali do buszu. Ustawili ludzi w rzędzie i kazali jej zabić ich wszystkich.

Ci młodzi chłopcy byli szkoleni, aby stać się złymi. Dziś wielu żyje pośród nas. A te dzieci... One były porwane. Nie były winne. One były porwane... Wiele osób porwano. Dzieci, kobiety... Kolejne dzieci rodziły się w buszu... Ci, którzy mieli szczęście, wracali, ale życie nie było już takie jak przedtem. Tak wiele bólu. Widzieć,

jak ktoś umiera... Obserwować, jak cierpi... Z tym dorastaliśmy.

Pomagały parafie i Czerwony Krzyż. Ale rząd...? Nie mogę powiedzieć, by zrobił wiele, żeby nam pomóc. Bo w czasie wojny rebelianci cały czas tu byli. A wojska rządowe pojawiały się zawsze po atakach. A przecież powinni byli walczyć, aby chronić ludzi. Ale ich wtedy nie było. W naszej szkole mieliśmy wyjątek. Ojciec jednej z dziewcząt był grubą rybą w armii. Szkoła więc była chroniona...

Także w *IDP camps* życie przenikał ból. ONZ dostarczał jedzenie. Jedni rozdawali, inni rabowali... A życie toczyło się wbrew naszej kulturze. Ludzi spędzono na ciasnych przestrzeniach. Domy na domach. Żadnej prywatności. Wszyscy o wszystkich wszystko

wiedzieli. Wszyscy dzielili jeden obszar.

Wiesz... W przeszłości, w kulturze Aczoli, ludzie zawsze się wspierali. Taka wzajemność... Pomagali sobie. Ale w *IDP camps* ta kultura umarła. Ludzie stali się samolubni. Już nie troszczyli się o siebie. Zanikło poczucie wspólnoty. Były kradzieże, gwałty. Mężczyźni stali się alkoholikami, bo nie mieli co robić. Kiedyś, żyjąc we wsi, pracowali na farmach. Tu nie było farm. Kobiety zmuszano do prostytucji. Albo same się oddawały. Z rozpacz. Ludzie polegali na tym, co sami zdołali pozyskać, często kosztem innych. Dzieci nie mogły się uczyć. To zaciążyło na przyszłości. Na tym, co widzisz dzisiaj...

Ja miałam szczęście. Ojciec był nauczycielem, więc mnie uczył. Z czasem to ja wzięłam odpowiedzialność za całą rodzinę. Dziś jestem jedyną, która pracuje. Moi

bracia, siostry, ojciec... Oni nie mają pracy...

Pamiętam, jak w czasie wojny pożar trawił domy. I człowieka, który rzucił się do płonącego domu, krzycząc, że skoro jego dom się spalił, to on też już nie ma przyszłości. Ludzie stojący dokoła odciągnęli go od ognia.

Wiesz, przez tę wojnę do dziś wielu z południa Ugandy nie chce przyjechać do Pader, Kitgum i innych części w naszym rejonie Aczoli. Bo na południu myślenie wciąż jest takie, że jak przyjedziesz na północ, to umrzesz. A przecież wojny już tu nie ma...

Te 20 lat odcisnęło się na życiu ludzi.

Teraz? Wyciszają się powoli. Bardzo powoli. Ale czy uda się powrócić do naszej kultury? Czy będziemy pielęgnować wartości Aczoli? ■



Krzysztof Błażyca – dziennikarz, fotoreporter. Od lat podejmuje temat krajów Afryki oraz misji, z akcentem na problemy społeczne i działania pomocowe. Członek Polskiego Towarzystwa Afrykanistycznego. Autor książek: „Tego drzewa nie zetniesz. Historie z czarami w tle” oraz „Krew Aczoli. Dziesięć lat po zapomnianej wojnie na północy Ugandy”. Założyciel i prezes Fundacji SORUDEO AFRICA (sorudeoafrica.org), pomagającej na północy Ugandy.



Życie po Traumie WOJNY

Dorota POŚPIECH

Trauma, ubóstwo i przemoc, jakich ludzie doświadczyli w czasie wojny w Ugandzie, naznaczają ich codzienność. Staramy się zachęcać ich do działania, aby pomóc w wychodzeniu z tego kręgu biedy i przemocy. Robimy to poprzez edukację, opiekę zdrowotną, inicjatywy rolnicze. Jednym z przekleństw północnej Ugandy są choroby. Dur brzuszny, wirusowe zapalenie wątroby, HIV, cholera. Ta ostatnia dotyka wszystkich, ale bardziej narażone są kobiety. W Pabo jest wysoki współczynnik umieralności. I wiele sierot. Więcej niż w innej części Ugandy...



Nazywam się David Okullu i pochodzę z Ugandy. Jestem księdzem od 12 lat. Posługiwałem w trzech różnych parafiach na terenie archidiecezji Gulu w północnej Ugandzie. W 2016 roku, kiedy pracowałem w niższym seminarium w Gulu, biskup poprosił mnie, żebym reprezentował go w Pabo. Pabo to miejsce, do którego przesiedlono najwięcej ludności z innych terenów objętych działaniami wojennymi w czasie antyrządowej rebelii wywołanej przez Armię Bożego Oporu (LRA) w 1986 roku. W związku z nagromadzeniem w jednym miejscu takiej liczby ludzi było tam wiele problemów, zarówno duchowych, jak i materialnych, związanych z warunkami bytowymi. Ludzie stracili poczucie obecności Boga w swoim życiu. Czuli się

przez Niego opuszczeni z powodu tego, co widzieli, czego doświadczyli. Ich problemów nie dało się szybko rozwiązać. W obozie mieszkało 70 tysięcy osób ściśniętych w jednym miejscu. Dodatkowo wiele razy wybuchały pożary, które szybko się rozprzestrzeniały ze względu na to, że pomieszczenia mieszkalne były zrobione z prowizorycznych materiałów i stały bardzo blisko siebie. Płonęły przydomowe uprawy, ubrania, żywność, a zdarzało się, że nawet ginęli ludzie. Poza tym dużym problemem był brak jedzenia, a także choroby i brak edukacji. Pomimo pomocy wielu organizacji pozarządowych, również Kościoła, przez wiele lat nie funkcjonowała tam szkoła. W końcu w 2006 roku rząd pozwolił mieszkańcom

obozu wrócić do swoich domów, ale to nie rozwiązało wszystkich problemów.

Kiedy pojawiłem się w Pabo, zobaczyłem, że ludzie są bardzo biedni, nie są w stanie płacić żadnych opłat związanych z edukacją, a budynek szkoły jest kompletnie zniszczony. W moim sercu było ogromne pragnienie, żeby poprawić ich sytuację, aby to wszystko mogło wrócić na dobre tory. Na terenie mojej parafii mamy jedną szkołę, ale z powodu braku innych w okolicy jest przeludniona. Uczy się tam 2400 dzieci, po 200 w jednej klasie, co przy niewielkiej liczbie nauczycieli nie pozwala na przekazanie wiedzy na wystarczającym poziomie. Dzieci siedzą na ziemi, mają kilka podręczników na klasę i bardzo złe warunki



do nauki. Jest też wiele dzieci, które w ogóle są wyłączone z procesu edukacji. Pojawił się więc pomysł, żeby na nowo uruchomić szkołę, która została zniszczona, i przywrócić jej struktury, ale to nie było takie proste. Dzieliłem się tymi problemami z moimi przyjaciółmi, z Krzysztofem [dziennikarzem odpowiedzialnym za projekt odbudowy szkoły w Pabo – przyp. red.], prowadziliśmy rozmowy w Fundacji Sorudeo Africa i tak trafiliśmy na Sekretariat Misji Zagranicznych Księża Sercańów, który obiecał wsparcie.

Obecnie w Pabo, mimo że obóz dla uchodźców wewnętrznych został zlikwidowany wiele lat temu, mieszkający w okolicy ludzie dalej mierzą się z traumą wydarzeń z przeszłości. To pokolenie, które jako dzieci dorastało w obozie, a wcześniej widziało okaleczenia, zabójstwa, gwałty, porwania. Wielu z nich

cierpi na choroby psychiczne. Często nie mają żadnego wykształcenia, więc zajmują się rolnictwem. Mają niewielkie poletka, na których pracują bardzo podstawowymi narzędziami. To, co uda im się wyhodować, mogą przeznaczyć jedynie na własny użytek. Zazwyczaj uprawy nie wystarczają nawet na zapewnienie rodzinie jedzenia na cały rok. W związku z tym miesiące, w których nie ma zbiorów, czyli czerwiec, lipiec, sierpień, to okres, kiedy ludzie cierpią z powodu głodu. Widać to po nich, są osłabieni, chorują – inaczej niż w pozostałych miesiącach. Ponieważ nie uprawiają tyle, aby móc na tym zarobić, wszelkie dodatkowe wydatki, na przykład na opiekę medyczną czy edukację, są poza ich możliwościami. To samo dotyczy wsparcia Kościoła. Mamy 22 kaplice, które są na terenie parafii (głównie prowadzone przez

katechistów), i kilka z nich jest w stanie zebrać około ośmiu tysięcy szylingów na miesiąc, co jest równoważnością dwóch dolarów. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale tak właśnie jest. Taka sytuacja jak w Pabo dotyczy właściwie większości miejsc w północnej Ugandzie, czyli prawie dwóch milionów ludzi. Mimo że obecnie nie ma żadnych działań wojennych, ludzie ciągle doświadczają ich skutków.

Dlatego tak ważna jest edukacja, która jest szansą na wydostanie się z tego pokoleniowego kręgu biedy. Szkoła, za którą wzięliśmy odpowiedzialność jako parafia, ma służyć całej społeczności. Stworzyliśmy komitet zarządzający szkołą, do którego należą członkowie Rady Parafialnej oraz liderzy wspólnot. Aby przekazać informacje o nowej szkole, zatrudnieni nauczyciele chodzili od domu do domu, zachęcali do rozpoczęcia lub kontynuowania edukacji i rejestrowali dzieci. Szkoła jest przeznaczona dla 1200 uczniów. Ponieważ jest całkowicie prywatna i nie dostaje żadnych dotacji od państwa, rodzice wnoszą niewielkie opłaty, aby pokryć przynajmniej część wynagrodzeń nauczycieli. Chętnych do pracy w szkole jest bardzo wielu, ponieważ w Ugandzie jest dużo więcej osób wykształconych w tym kierunku niż miejsc pracy. Również mieszkańcy, już na etapie odbudowy szkoły, kiedy jeszcze trwały prace budowlane, byli bardzo podekscytowani i szczęśliwi. Nie mogli się doczekać jej otwarcia! ■



Odbudowa szkoły w Ugandzie

We współpracy z Fundacją Sorudeo Africa, ks. Davidem Okullu i Krzysztofem Błażycą, udało się odbudować i wyremontować budynek szkoły w Pabo, dzięki czemu ponad 1000 dzieci będzie miało szansę na naukę. Edukacja to lepsza przyszłość dla kolejnego pokolenia ugandyjskich dzieci!

www.misjesercanow.pl



Twarda jak skała

Życie kobiety w Republice Środkowoafrykańskiej jest bardzo trudne. Jej codzienność jest monotonna i smutna. We wszystkich grupach etnicznych (oprócz Pigmejów) panuje patriarchat absolutny – kobieta zazwyczaj nie ma nic do powiedzenia, jest źle traktowana, a przez to często staje się oschłą i bezwzględna. Musi być twarda jak skała.

Izabela CYWA





W Republice Środkowoafrykańskiej dominuje inny obraz kobiety niż w Polsce. Nie chodzi tutaj o wygląd, ale o pewną delikatność w głosie, zachowaniu. Jeśli mielibyśmy ją porównywać do wizerunku Matki Bożej – kobieta w RŚA taka nie jest. Ta musi być stanowcza, silna, nieugięta, wytrwała, bo jej codzienność jest trudna. Pozycja społeczna kobiety w tym kraju jest tragiczna. Jeśli porównać to do kast, to kobieta w RŚA byłaby pariasem. Mentalność takiej kobiety też jest inna. Pierwszą ogromną różnicą w porównaniu z kulturą europejską jest to, że w Republice Środkowoafrykańskiej dominuje poligamia, która niszczy życie rodzinne.

Są kobiety, które zgadzają się na poligamię w zamian za miejsce do życia, pokój, dom, możliwość wychowywania dzieci. Takie podejście kobiet zrozumiałam dopiero, kiedy dowiedziałam się, że kobieta bezdzietna w kulturze Afryki Środkowej to wiedźma, czarownica. Kobiety nie chcą być oskarżane o czary, dlatego panicznie boją się nieplodności – bardziej niż posiadania dużej liczby dzieci. Poligamia niszczy serce kobiety, zmuszając ją do zgody na dzielenie swoich emocji, miłości do ukochanego mężczyzny, a czasami nawet domu z inną kobietą. W takim układzie kobieta musi też liczyć się z chorobami wenerycznymi, a często i zakażeniem wirusem HIV. Poligamia utwierdza taką kobietę, że nie zasługuje na bezwarunkową miłość, nikt

się o nią nie zatroszczy i że może liczyć tylko na siebie. Przekłada się to na wychowanie dzieci w duchu obojętności i chłodu emocjonalnego. Takie matki często całe swoje pokłady miłości przelewają na dzieci, a jednocześnie traktują je bardzo zadaniowo. W RŚA dzieci szybko zaczynają pracować na utrzymanie rodziców. Zdarza się, że rodzice oddają dziecko, aby zarabiała na rodzinę za pomocą prostytucji.

” Kobieta bezdzietna w kulturze Afryki Środkowej to wiedźma, czarownica. Kobiety nie chcą być oskarżane o czary, dlatego panicznie boją się nieplodności – bardziej niż posiadania dużej liczby dzieci.

Joanne

Joanne pojawiła się na misji w Bagandou, kiedy byłam dyrektorką tamtejszego szpitala misyjnego. Poszukiwaliśmy wtedy kucharza po zwolnieniu poprzedniego, który wynosił nasz obiad i sprzedawał go w porcjach na wiosce. Joanne pochodziła ze stolicy. Miała czwórkę dzieci i mężczyznę swojego życia. To dla niego dała się namówić na mieszkanie w Bagandou. Joanne jest piękną, szczupłą i wysoką kobietą

z europejskimi rysami twarzy. Jej dzieci zawsze były zadbane, czyste i zdrowe. Na początku mieszkania w Bagandou jej i Chrisowi, bo tak miał na imię jej partner, żyło się bardzo dobrze. Oboje katolicy, zakochani i szczęśliwi. Chris pracował w kopalni diamentów. Któregoś soboty przyniósł do domu 8 milionów franków (ponad 58 tysięcy złotych), za które kupił soki i piwo dla całej wioski. Resztę pieniędzy roztrwonił, co ostatecznie doprowadziło go do zdrady. Miesiąc później miał kolejną kobietę. W 2017 roku miał ich już sześć, a Joanne była

pierwszą „żoną” z tego grona. Przyszła na misję szukać pracy, kiedy pieniądze Chrisa skończyły się i nie starczało ich dla dzieci. Tego dnia postanowiła pracować i wybudować dom w Bangi, aby kiedyś wrócić tam z dziećmi.

Po Mszy Świętej o 6:30 Joanne była zawsze gotowa do pracy. Któregoś dnia przyszła bardzo smutna, a na jej twarzy, z natury brązowej, widać było szaro-fioletowe plamy. Wtedy zrozumiałam, że jest bita. Była jedyną kobietą, która zarabiała w domu, więc Chris chciał od niej pieniądze. Od tego



dnia brała tylko część wypłaty, aby starczyło na jedzenie, a resztę pieniędzy odkładała na misyjnym koncie w tajemnicy przed Chrisem. Kiedy kończyłam pracę w Bagandou, Chris coraz częściej bił Joanne, a jedna z awantur skończyła się gwałtem. Tej nocy poczęł się mały Izrael. Wtedy misjonarze postanowili pomóc Joanne w budowie domu w Bangi. Jeden z księży zapłacił za wykończenie jej domu. Bał się, że któregoś dnia Joanne nie przyjdzie do pracy, bo Chris ją zabije. W nocy, po kryjomu wywiózł Joanne do Bangi, gdzie zamieszkała ze wszystkimi swoimi dziećmi i matką.





Podczas drugiej edycji szkolenia Bezpieczna Mama spotkałam Joanne w stolicy. Pracuje teraz jako kucharka i pomoc na misji w Bimbo. Joanne wszędzie, gdzie się pojawia, swoje obowiązki wykonuje bardzo rzetelnie, jest wesoła i uśmiechnięta. Sama wychowuje Izraela i resztę swoich dzieci. Kiedy ją zobaczyłam, rozplakałam się. A ona powiedziała mi, żebym przestała, bo przecież Pan Bóg ją kocha. I że czeka, aż zobaczy w końcu mojego syna. Joanne jest dla mnie wzorem matczynej miłości, odwagi, poświęcenia i radości z życia. Czy jest twarda? Tak, jest twarda jak skała, ale bardzo mądra. Stała się dla mnie

światłem nadziei, że życie kobiet w RŚA kiedyś się zmieni.

” Poligamia niszczy serce kobiety, zmuszając ją do zgody na dzielenie swoich emocji, miłości do ukochanego mężczyzny, a czasami nawet domu z inną kobietą.

Glwadys

Na pewno w zależności od grupy społecznej różni się życie kobiet w Republice Środkowoafrykańskiej.

Kobiety, które ze mną pracują, są po uniwersytecie, ale ich poziom edukacji też pozostawia wiele do życzenia. Wiele z nich podchodziło kilka razy do ukończenia szkoły, bo miały już dzieci. Kobiety tutaj bardzo wcześnie zostają matkami, więc jeśli mają wspierającą rodzinę, która zaopiekuje się dziećmi, to mogą dalej się uczyć, a jeśli nie, zostają z dziećmi w domu. W RŚA kobieta bez dzieci jest wykluczona ze społeczeństwa. Tak jest na przykład w przypadku Glwadys, która jest naszą asystentką i księgową i nie ma potomstwa. Gdyby mieszkała w wiosce, na pewno byłaby oskarżona o czary i postrzegana jako wiedźma. Mieszkając w mieście, jest bezpieczniejsza. Jej dzień wygląda tak, że rano idzie po wodę dla siebie i męża, przygotowuje śniadanie i wszystkie rzeczy do pracy, potem ubiera się i szybko jedzie do pracy. Zawsze jest spóźniona, ale czysta i zadbana. O 15:00 kończy pracę i wraca do domu, żeby przygotować posiłek na 18:00, sprząta w domu. Pomimo tego, że pracuje, to nie jest jej najważniejsza rola życiowa. Najważniejsze jest zajęcie się domem i mężem. Ona robi w domu wszystko, a jeszcze martwi się, że nie ma dzieci. Tak więc praca daje jej oddech od myślenia o problemach i przede wszystkim pieniądzu. Często jest tak, że pracujące kobiety nie dzielą się pieniędzmi z partnerami.

Życie w RŚA jest bardzo brutalne. Z powodu ciągłych rebelii wszyscy są przyzwyczajeni do śmierci, przez co widać, że ludzie tutaj są bardziej szorstcy, twardzi,



zamknięci. Nie otwierają się, żeby nikt ich nie zranił. Zranione serce boli i wtedy są słabi, a nie chcą okazywać słabości. Mieszkańcy RŚA są bardzo sympatyczni, ale dużo trudów niosą na swoich ramionach. Myślę, że to dotyczy również Glwadys, która cieszy się, że pracuje, zarabia pieniądze, ale czuje się niewystarczająco dobra, bo nie urodziła dzieci. Dlatego biegnie po pracy, żeby wysprzątać dom, ugotować, żeby w żaden sposób nie narazić się mężowi, żeby był zadowolony. A on pewnie i tak w końcu weźmie drugą kobietę, która mu urodzi dzieci.

Matriarchat

Życie Pigmejki jest bardzo ciężkie. Wstaje wcześniej niż o 5:00 rano, żeby przynieść wodę, pomagają jej w tym dzieci, które wysyła do szkoły. Pigmejki pokonują wiele kilometrów, żeby znaleźć drewno. Cały dzień ciężko pracują,

wykonują różne prace dla innych grup, np. Bantu. Wyrabiają koszyki i inne przedmioty codziennego użytku. Przygotowują jedzenie. Pigmeje odżywiają się trochę lepiej od innych grup etnicznych, bardziej różnorodnie. Cały czas są też w lesie, bo las daje im pokarm. Kiedy jest okres na robaki *makongo*, to kobieta jest cały miesiąc albo dwa w buszu, od rana do nocy chodzi między drzewami i je zbiera. To samo, kiedy jest sezon na zbieranie miodu lub *koko* (forma szpinaku). W tym intensywnym czasie zdarza się, że któreś dziecko jej umiera, bo nie jest w stanie wrócić z nim do szpitala. Bardzo często podczas tych prac jest w ciąży. W międzyczasie przygotowuje jedzenie dla dzieci i męża. Pigmeje są monogamiczni, chociaż w rejonie Nola zdarza się poligamia nawet wśród Pigmejów. Kobiety spotykają się przy

studniach, jest to miejsce, w którym można porozmawiać z innymi kobietami z wioski. Pigmejki dużo mówią, ponieważ przekaz jest tylko słowny. Często wymyślają niestworzone historie, które są zazwyczaj straszne.

Dziewczynki

Przeciętna dziewczynka w RŚA wstaje o 5:00 rano, najpierw zmiata wokół domu, potem idzie po wodę z bidonem na głowie albo wózkiem, który ciągnie. Kiedy wraca, pomaga matce zrobić śniadanie, ubiera młodsze rodzeństwo. Jak wykona wszystkie obowiązki, myje się, ubiera i wychodzi do szkoły. Zdarza jej się marzyć o byciu lekarką albo nauczycielką, ale najczęściej chce mieć jak najszybciej dzieci, bo boi się być oskarżona o czary. W większości przypadków, kiedy zgadza

się na dziecko, ostatecznie wychowuje je sama, nie ma kontaktu z tym pierwszym partnerem. Często dziewczynki zmuszane są do aborcji. Aborcji jest bardzo dużo.

Dziewczynka chodzi do szkoły, ma wielkie marzenia, ale kiedy wraca do domu, najczęściej słyszy, że musi znaleźć sobie męża, żeby mogła się wyprowadzić i nie obciążać dłużej rodziny. Sporo jest rodzin, które każą zrezygnować córkom ze szkoły, żeby mogły pomagać w domu. O ile w pierwszych klasach podstawówki liczba uczennic i uczniów jest wyrównana, o tyle w liceum i na studiach większość stanowią mężczyźni. Dziewczynki kończą edukację najczęściej po kilku klasach podstawówki. Mentalność powoli się zmienia, ale ciągle niewiele jest jeszcze rodzin, które dbają o edukację dziewczynek. ■



URATUJ ŻYCIE AFRYKAŃSKICH KOBIET I DZIECI! WESPRZYJ PROJEKT **Bezpieczna mama**

[www.misjesercanow.pl/projekty/
bezpieczna-mama](http://www.misjesercanow.pl/projekty/bezpieczna-mama)





Bezpieczna Mama

| Dorota POŚPIECH

Bezpieczna Mama to projekt, którego koncepcja narodziła się wraz z obserwacją bólu i cierpienia kobiet rodzących w Republice Środkowoafrykańskiej. Jego celem jest zmniejszenie umieralności okołoporodowej kobiet i dzieci w tym kraju. Zakłada szkolenia akuszerki, których błędy w większości przypadków powodują śmierć matek i noworodków.

Na liście krajów z najwyższym wskaźnikiem śmiertelności okołoporodowej Republika Środkowoafrykańska zajmuje drugie miejsce. Oznacza to, że wiele kobiet i noworodków umiera podczas porodu. Głównym powodem takiego stanu rzeczy jest fakt, że odbieraniem porodów nie zajmują się lekarze ani położne, ale akuszerki, w RŚA nazywane matronami. To kobiety nie tylko bez wykształcenia medycznego, lecz także często bez podstawowej wiedzy dotyczącej kobiety w ciąży, porodu i opieki nad noworodkiem. Jak podkreśla Izabela Cywa, pomysłodawczyni projektu Bezpieczna Mama, śmiertelność okołoporodowa w tym kraju w 90% przypadków wynika z błędów popełnianych przez matrony. Wystarczy, że pępowinę przetną niesterylnym narzędziem lub podwiążą brudną nitką. Powoduje to zakażenie tężcem noworodka, który nie ma szans na przeżycie.

” Kobiety w Republice Środkowoafrykańskiej najczęściej rodzą w domach, w bardzo trudnych warunkach. Nawet w przychodniach porody odbierane są na ziemi, bo łóżko porodowe to w Afryce ciągle rzadkość.

Śmierć matki to śmierć dziecka

Kobiety w Republice Środkowoafrykańskiej najczęściej rodzą w domach, w bardzo trudnych warunkach. Nawet w przychodniach większość z nich rodzi na ziemi, bo łóżko porodowe to w Afryce ciągle rzadkość. Porody obarczone największym ryzykiem komplikacji to porody dziewczynek (a w Afryce rodzą nawet 13-latki) i wieloródek. Te ostatnie są szczególnie tragiczne, gdy przy kolejnym porodzie umiera

matka, która zostawiła w domu na przykład ósemkę dzieci. Zdarzają się również przypadki, że kobiety noszą w łonie martwe dziecko przez kilka tygodni, bo położne i nawet lekarze nie badają tętna płodu w trakcie ciąży. Czasem nie mają stetoskopów położniczych, a czasem zwykłej świadomości, że jest to niezbędne do szybkiego wychwycenia nieprawidłowości. Konsekwencje tego są na ogół dramatyczne dla zdrowia matki. Zakażenie wywołane przez obumarły płód kończy się sepsą i prawie zawsze śmiercią kobiety.

Problem z personelem medycznym polega na tym, że w Republice Środkowoafrykańskiej nie kształci się ginekologów jako specjalistów. Lekarze kończą studia, ale bez żadnej specjalizacji, a to oznacza, że ten sam lekarz prowadzi ciążę, wykonuje operację wycięcia wyrostka czy leczy uraz nogi. Dodatkowym problemem w publicznych szpitalach (podobnie jak w szkołach) jest to, że pracownicy nie dostają wypłaty, a ich jedynym wynagrodzeniem jest na przykład kura lub drewno na opał. I to jest tam normą. Skutkiem tego wszystkiego jest niski poziom opieki medycznej. Kobiety boją się rodzić w przychodniach, bo jeśli trafią tam ze względu na komplikacje okołoporodowe, to jest bardzo duże prawdopodobieństwo, że zakończy się to śmiercią matki, dziecka lub obydwójga.

W Republice Środkowoafrykańskiej śmierć matki to śmierć dziecka. Zdarza się, że noworodek zostaje oddany innej matce, która



akurat karmi piersią swoje dziecko, ale przy takim poziomie niedożywienia wykarmienie jednocześnie dwójki niemowląt jest praktycznie niemożliwe.

Warsztaty ratujące życie

Projekt Bezpieczna Mama obejmuje szkolenia dla akuserek i osób odpowiedzialnych za odbieranie porodów w przychodniach. Jego inicjatorką jest Izabela Cywa, która do Afryki wyjechała jako świecka misjonarka z diecezji tarnowskiej. W ciągu kilku lat pracy w szpitalu w Bagandou w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie pełniła funkcję dyrektorki, była świadkiem wielu sytuacji, w których personel był bezradny wobec komplikacji okołoporodowych. Często powikłania lub infekcje wynikały bezpośrednio z błędów lekarzy i akuserek. Iza postanowiła to zmienić.

Po powrocie do Polski szukała położnej, która zechciałaby przekazać swoją wiedzę innym kobietom w Republice Środkowoafrykańskiej. Tak trafiła na Sarę Suchowiak, która także miała już za sobą doświadczenie misyjne. Wspólnie zorganizowały pierwsze warsztaty dla akuserek w prefekturze Sangha-Mbaéré dla 24 ośrodków zdrowia. Szkolenie cieszyło się taką popularnością, że dziewczyny postanowiły zorganizować drugą edycję projektu, już w powiększonym składzie, aby jeszcze bardziej podnieść poziom szkolenia.

„Uważam, że Bezpieczna Mama to bardzo dobry program, dlatego że zaczynamy od tego, co ma największy wpływ na ryzyko śmierci kobiet i dzieci podczas porodu. Skoro Republika Środkowoafrykańska jest na drugim miejscu na świecie pod względem śmiertelności

okołoporodowej i za tę umieralność odpowiedzialne są przede wszystkim osoby pierwszego kontaktu, czyli matrony (akuszerki), to właśnie od nich należy zacząć szkolenia i to przewiduje projekt Bezpieczna Mama. Generalnie jestem zdania, że w takich miejscach jak Republika Środkowoafrykańska edukacja jest najważniejsza. Można polecić do Afryki i zbadać wiele osób, ale nigdy nie zbadamy wszystkich. Natomiast wpływając na zwiększenie kwalifikacji osób, które są na miejscu i mają największy kontakt z medycyną, możemy liczyć na trwałe zmiany. Uważam, że program Bezpieczna Mama, którego autorkami są Izabela Cywa i Sara Suchowiak, należałoby opatentować. To są bardzo proste i sensowne rozwiązania, ale trudno to złożyć w całość” – podkreśla dr Anna Paczkowska, która ma za sobą ponad 30



lat pracy jako ginekolog-położnik, a także doświadczenie misyjne na Madagaskarze.

Misja specjalna

Pod koniec września 2022 roku wolontariusze z Polski – Izabela Cywa, która odpowiadała za organizację wyjazdu i tłumaczenie szkoleń na język sango, dwie położne Sara Suchowiak i Elżbieta Socha, lekarz ginekolog Anna Paczkowska oraz ratownik medyczny Tomasz Skręty – wylądowali w Bangi, stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej, skąd ruszyli w drogę do Nola, gdzie miały się odbyć warsztaty. W międzyczasie spotkali się z ministrem zdrowia, Pierre’em Somse, który osobiście podziękował im za zaangażowanie w podnoszenie poziomu wiedzy personelu medycznego w Republice Środkowoafrykańskiej. Projekt Bezpieczna Mama wpisuje się w założenia Ministerstwa Zdrowia, dlatego minister chciałby na bazie tego programu zorganizować szkolenia dla akuserek także w innych prefekturach, gdzie ze względu na rebeliantów nie mogą wjechać cudzoziemcy.

W ostatniej edycji projektu szkolenie trwało pięć dni. Zajęcia odbywały się od poniedziałku do piątku, od rana do wieczora. Obejmowały tematy z zakresu położnictwa i ginekologii. Był to bardzo intensywny i wyczerpujący czas, ale także bardzo owocny. Zgodnie z pierwotnymi założeniami szkoleniem miało zostać objętych 20 ośrodków



„ Porody obarczone największym ryzykiem komplikacji to porody dziewczynek i wieloródek. Te ostatnie są szczególnie tragiczne, gdy przy kolejnym porodzie umiera matka, która zostawiła w domu na przykład ósemkę dzieci.

zdrowia, a ostatecznie przyjechało aż 46 osób z 33 ośrodków zdrowia. Niektóre z nich pokonały nawet kilkadziesiąt kilometrów, aby tu dotrzeć. Dlatego założenia projektu obejmują także zakwaterowanie i wyżywienie uczestników. Treści szkolenia były dostosowane do możliwości akuserek, które nie potrafiły czytać ani pisać, ale miały wysoko wykształcone umiejętności

manualne. Dlatego dużą rolę odgrywała część praktyczna, czyli praca na fantomach. Zdobyte umiejętności i wiedza pozwolą im na odbieranie cięższych porodów, podczas których odpowiednie postępowanie często decyduje o tym, czy matka i dziecko przeżyją.

Na maj 2023 roku planowana jest trzecia edycja projektu Bezpieczna Mama, dzięki czemu możliwe będzie przeszkolenie kolejnych osób w zakresie podstawowych, najważniejszych umiejętności niezbędnych podczas odbierania porodów, opieki nad kobietami w ciąży czy resuscytacji noworodka. Projekt, podobnie jak w poprzednich edycjach, obejmuje także wyposażenie przychodni w podstawowe materiały medyczne i paramedyczne (takie jak zaciski do pępowiny czy stetoskopy położnicze). Zapraszamy do wsparcia tej inicjatywy na naszej stronie internetowej! ■

Misja Położna

Sara SUCHOWIAK

„Pojechałam tam, żeby zmienić świat, a pierwsze, co zobaczyłam, to wcześniak ważący 700 gramów, który umarł na moich oczach” – tak o swoim doświadczeniu misyjnym mówi Sara Suchowiak, położna, która pracowała w kilku afrykańskich krajach. Pomimo trudnych doświadczeń nie ustaje w walce o zmniejszenie śmiertelności okołoporodowej w Afryce Środkowej. Razem z Izabelą Cywą stworzyła projekt Bezpieczna Mama.

Pomyśl o tym, żeby wyjechać na misję, kiełkował we mnie kilka lat. Ziarenko zostało zasiane już w gimnazjum, dzięki Ojcom Oblatom. Do parafii w Czapurach, skąd pochodzę, przyjechał misjonarz z Madagaskaru i opowiadał o swojej misji. Słuchając go, stwierdziłam, że to jest to, co chcę robić. Zaczęłam zgłębiać temat i poczułam, że moje miejsce jest w Afryce i powinienam tam pojechać jako pomoc medyczna.

Przedemną była wtedy jeszcze długa droga, ale zaczęłam myśleć o tym poważnie. Zakładałam, że przyda mi się znajomość języka francuskiego, więc zaczęłam się do niego przykładać. Chciałam studiować na Uniwersytecie Medycznym, wiedziałam więc, że muszę przygotować się do zaliczenia takich przedmiotów jak biologia i chemia na maturze. Kiedy już zdałam maturę, zastanawiałam się nad wyborem specjalizacji. W tamtym czasie w ramach pomocy humanitarnej najczęściej mówiło się o problemach okołoporodowych w Afryce i dużej śmiertelności matek i dzieci. Te obrazy małych dzieci i ciężarnych kobiet bardzo mi utkwiły w pamięci, dlatego zdecydowałam się na studiowanie położnictwa na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu.

Wiedziałam, że na wolontariat zagraniczny nie można pojechać tak po prostu bez żadnego doświadczenia, dlatego szukałam miejsca, w którym mogłabym się lepiej przygotować. Tak trafiłam na Fundację Pomocy Humanitarnej



„Na misjach moim pierwszym pacjentem był skrajny wcześniak, który niestety zmarł. I tak zaczęło się moje ratowanie życia od śmierci – tej, której chciałam unikać.

Redemptoris Missio i zaczęłam tam udzielać się jako wolontariuszka. Byłam bardzo zaangażowana we wszystkie akcje i działania fundacji. Przez te wszystkie lata, kiedy studiowałam, z zazdrością patrzyłam na innych, jak wyjeżdżają na misję, wracają i opowiadają o swojej pracy. W końcu nadszedł moment, w którym przyszła kolej również na mnie. Od zawsze myślałam o Madagaskarze, ale niestety w tamtym czasie nie było zapotrzebowania na wolontariat w tym regionie. Zaproponowano

mi wyjazd do Kamerunu. Nie zastanawiałam się długo i powiedziałam: „Zgadzam się”.

Kamerun – początki

Pierwsze doświadczenie misyjne zdobyłam w Kamerunie i kiedy doleciałam na miejsce, to mimo wieloletniego przygotowania wszystkie moje wizje i plany leżały w gruzach. Okazało się, że są oderwane od rzeczywistości. U mnie to nie wyglądało tak jak w mediach, gdzie te wszystkie wdzięczne dzieciaki wieszają się na szyję i ubóstwiają wolontariuszy.

Człowiek, jadąc na misję, ma wiele wzniosłych ideałów. Ja też pojechałam tam z myślą, żeby dawać jak najwięcej z siebie i po prostu pomóc tym ludziom, jednak na miejscu napotykałam głównie trudności. Na lotnisku okazało się, że zaginęły moje walizki i muszę wstrzymać się z dotarciem do Garoua Boulai – miejsca docelowej

misji. Nie chciałam czekać bezczynnie, więc w przychodni niedaleko mojego tymczasowego miejsca zamieszkania zapytałam, czy mogę pomóc. Zgodzili się.

Moim pierwszym pacjentem był tam skrajny wcześniak, który niestety zmarł. I tak zaczęło się moje ratowanie życia od śmierci – tej, której chciałam unikać. To było dla mnie ogromnie trudne zderzenie z rzeczywistością. Okazało się, że moja wiedza i doświadczenie nie

są wystarczające, bo w przypadku wcześniaków bardziej potrzebna jest wiedza z zakresu neonatologii oraz specjalistyczny sprzęt, którego nie miałam.

Dodatkowo dopiero tam się dowiedziałam, że w miejscowości Garoua Boulai, do której miałam jechać, nie jest bezpiecznie. To miasto położone jest blisko granicy i znajdowały się w nim dwa ogromne obozy dla uchodźców. Wiadomo, że tam, gdzie warunki życia są bardzo

trudne i ludzie nic nie mają, rośnie przestępczość. Poza tym był to rejon działania bojówek i organizacji terrorystycznych.

Gdy słuchałam tych wszystkich historii, od razu pojawiły się we mnie wątpliwości, ogromny strach i myśl, że muszę wrócić do Polski. Pojechałam tam robić dobre rzeczy, ale nie chciałam umierać. Zaczęłam się modlić: „Panie Jezu, skoro mnie tutaj przysłałeś, to mnie pilnuj. Nie narażaj mnie aż tak, bo chcę jeszcze dużo dobrych rzeczy zrobić. Jeśli mnie tu przysyłasz, to zostaję, ale mnie chroń”. Jak już rozłożyłam sobie to wszystko na czynniki pierwsze, poukładałam w głowie i zaufałam, że Opatrzność tym wszystkim kieruje, to uznałam, że zostaję.

Wolontariat uszlachetnia

W Garoua Boulai trafiłam do przychodni Sióstr Dominikanek. Jedną z polskich misjonarek była tam lekarka i odpowiadała za przychodnię. Przychodzili do niej mieszkańcy miasta, a także osoby z obozów dla uchodźców. W przychodni nie było stałego prądu, a pacjentów było coraz więcej (w mieście szybko rosła liczba uchodźców z Republiki Środkowoafrykańskiej). Porodówka była czynna całą dobę, więc kiedy ktoś potrzebował pomocy, po prostu do mnie przychodził. Pojechałam tam dla tych ludzi, więc byłam dostępna cały czas. Zajmowałam się głównie kobietami: prowadziłam konsultacje prenatalne, pogadanki z zakresu promocji zdrowia, przyjmowałam



” W miejscowości Garoua Boulai, do której miałam jechać, nie było bezpiecznie. To miasto położone blisko granicy i znajdowały się w nim dwa ogromne obozy dla uchodźców. Poza tym był to rejon działania bojówek i organizacji terrorystycznych.

porody. Poza tym podejmowałam się tego, co w danym momencie było potrzebne – pracowałam w laboratorium czy aptece, robiłam porządki, wykonywałam prace administracyjno-biurowe. Mój pobyt trwał siedem miesięcy.

Zdarzały się trudne sytuacje, na przykład, kiedy podczas spaceru z siostrą ktoś wyrwał mi torebkę z paszportem. Złodziej uciekł i wydawało się, że sytuacja jest beznadziejna. Nikt nie odważył się nam pomóc, słyszałyśmy tylko, że ten człowiek ma nóż, jest pod wpływem narkotyków. I nagle w tym zamieszaniu znalazł się żołnierz, muzułmanin, który wracał z modlitwy. Pobiegł za tym złodziejem i wrócił z moją torebką oraz całą jej zawartością – telefonem, paszportem. Ta sytuacja była dla mnie dowodem na działanie Opatrzności. W wielu sytuacjach miałam poczucie, że nie jestem sama, że ktoś nade mną czuwa. Te trudne doświadczenia mnie nie zrażały. Byłam przekonana, że to jest dzieło, które mam wykonać i do



którego jestem powołana. Czułam, że to jest moje miejsce, i miałam ogromną satysfakcję z tego, co robiłam dla tych ludzi.

Na pewno duży wpływ na to miał także fakt, że robiłam to w ramach wolontariatu. Dzięki mojej wspaniałej rodzinie miałam taką możliwość i nie musiałam podejmować pracy zarobkowej, mogłam poświęcić się swojej pasji, pomagając innym. Zawsze mówię, że nieważne, czy dostajesz za swoją pracę milion dolarów, czy też robisz to charytatywnie, musi być ona tak samo rzetelnie i dobrze

wykonywana. Pracując i nie myśląc o zarobkach, ma się kompletnie inną perspektywę. Zupełnie inaczej wstaje się rano, wiedząc, że robisz to tylko dlatego, że chcesz to robić, że po to tutaj jesteś, sprawia ci to przyjemność i nikt cię do tego nie zmusza. Oczywiście są lepsze i gorsze dni, ale jest to inna forma pracy.

Sam wolontariat uszlachetnia człowieka, rozwija w nim wiele dobrych cech. Można zobaczyć, jak to jest robić coś z dobroci serca, a nie dlatego, że oczekuje się czegoś w zamian. Cieszę się, że mogłam tego doświadczyć, bo w polskich



warunkach świeckiemu misjonarzowi jest trudno wyjechać – nie mamy żadnych ubezpieczeń ani zaplecza finansowego. Ja mogłam to zrobić dzięki wsparciu swojej rodziny. Pomimo trudności wiedziałam, że to jest dla mnie. Praca nie musi być łatwa, żeby człowiek się w niej spełniał.

Projekt Bezpieczna Mama

Po moim doświadczeniu w Kamerunie miałam okazję kontynuować swoją misję w Republice Środkowoafrykańskiej, już na zupełnie innych zasadach. Tam znalazła mnie Iza Cywa, która szukała położnej z doświadczeniem misyjnym i znajomością języka francuskiego. Zadzwo niła do Fundacji Redemptoris Missio i tak trafiła na mnie. Od razu poczułyśmy, że nadajemy na tych samych falach, mamy wspólne cele i będzie nam się dobrze współpracowało. Iza miała za sobą doświadczenie w pracy

” Sam wolontariat uszlachetnia człowieka, rozwija w nim wiele dobrych cech. Można zobaczyć, jak to jest robić coś z dobroci serca, a nie dlatego, że oczekuje się czegoś w zamian. Cieszę się, że mogłam tego doświadczyć.

w szpitalu, gdzie wiele kobiet i dzieci umierało przy porodach albo jeszcze podczas ciąży. Tam generalnie kobiety rodzą w domach, a do przychodni trafiają tylko wtedy, kiedy następują komplikacje. Niestety w większości punktów medycznych matrony, czyli tamtejsze akuszerki, nie miały środków ani wiedzy, aby temu zaradzić, i dlatego śmiertelność była bardzo wysoka. Zdarzało się, że kobiety kilka tygodni nosiły w łonie martwe dziecko, bo nikt nie zbadał

tętna płodu, a u matki rozwinęło się już zakażenie, którego nie dało się opanować. Często wynikało to też z podstawowych błędów higienicznych, których dałoby się uniknąć, gdyby na przykład nie podwiązywano pępowiny brudną nitką, co powodowało zakażenie noworodka tężcem.

Miałyśmy świadomość, że często ta bezsensowna śmierć nie była kwestią braku sprzętu, ale braku wiedzy, jak bezpiecznie prowadzić ciążę i poród. Dlatego też razem z Izą stworzyłyśmy projekt Bezpieczna Mama. Ja odpowiadałam za część teoretyczną i szkoleniową, a Iza czuwała nad organizacją, logistyką i funduszami. W pierwszej edycji projektu pojechaliśmy do Afryki tylko we dwie, ale na miejscu okazało się, że sama nie jestem w stanie zrealizować całego programu. Dlatego wiedziałam, że następnym razem potrzebuję drugiej położnej, lekarza i ratownika medycznego, może

pediatry. Druga edycja była więc rozszerzona o tematy, którymi zajęli się specjaliści z danych dziedzin opieki okołoporodowej.

Jedną z najważniejszych rzeczy, jaką chciałam przekazać na szkoleniach, które prowadziłyśmy w Nola, był szacunek do pacjentek, żeby te kobiety były traktowane z godnością i profesjonalizmem. Nie jest to takie oczywiste, bo pracownicy medyczni w Afryce stoją wyżej w hierarchii społecznej niż na przykład kobiety pracujące w polu, i na tym tle jest sporo nadużyć. Druga sprawa, na której bardzo mi zależało, to zwrócenie uwagi na problem depresji poporodowej. Chciałam, aby ludzie mieli świadomość, że jest to choroba i kobieta po urodzeniu dziecka ma prawo płakać i czuć się źle. Temat chorób psychicznych jest trudny do wytłumaczenia, bo niektóre symptomy w krajach afrykańskich nie występują albo są zupełną abstrakcją wśród ludności (jak na przykład brak ochoty na jedzenie, kiedy u nich je się jeden posiłek dziennie). Poza tym rzadziej diagnozuje się zaburzenia psychiczne, bo jeśli pojawia się jakiś problem, to ludzie wszystko zrzucają na czary.

Trzeci temat, na który starałam się uwrażliwić uczestników szkoleń, to niepodjęcie błędnych interwencji medycznych podczas porodu, który przebiega fizjologicznie. Kiedy tego nie respektujemy, często nieświadomie naszymi działaniami komplikujemy poród, zamiast go wspierać. Na przykład w trzecim okresie porodu, kiedy kobieta rodzi

” Międzyśmy świadomość, że często ta bezsensowna śmierć kobiet i dzieci nie była kwestią braku sprzętu, ale braku wiedzy, jak bezpiecznie prowadzić ciążę i poród. Dlatego też razem z Izą stworzyłyśmy projekt Bezpieczna Mama.

łożysko, lepiej poczekać określony czas, niż próbować wyjmować łożysko, bo grozi to krwotokiem i innymi komplikacjami. To samo dotyczy przebijania błon płodowych (które nie zawsze przyspiesza poród, a może na przykład spowodować wypadnięcie pępowiny) albo rutynowego nacięcia krocza (zwłaszcza w sytuacji, kiedy nie ma go czym zszyć). Nie wystarczy jednak powiedzieć: „Nie nacinajcie”. Trzeba ich jeszcze nauczyć techniki ochrony krocza, żeby nie skończyło się z kolei pęknięciem

i okaleczeniem kobiety. Dużą wagę podczas szkolenia przywiązywałam też do przekazania zasad związanych z zachowaniem higieny podczas porodu, do mycia rąk i dezynfekcji narzędzi, aby uniknąć zakażeń, które nie dawały szans na przeżycie noworodkom.

Szkolenie cieszyło się dużym zainteresowaniem i jestem pod wrażeniem ogromnego zaangażowania uczestników. To było dla mnie miłe zaskoczenie, bo wszyscy chcieli brać aktywny udział, ustawiali się w kolejce do ćwiczeń praktycznych. Chcieli wszystko powtarzać, nawet jak chcieliśmy przejść już do kolejnego etapu, oni chcieli dalej ćwiczyć. Robili notatki, zadawali pytania, co też było bardzo ważne, bo dla nas to były oczywiste rzeczy, jednak słuchaczom trzeba było to wytłumaczyć. Dzięki temu mogliśmy rozwiązać wątpliwości, podejść do tematu bardziej kompleksowo i rzetelnie. Widać było, że byli to ludzie, którzy naprawdę chcą się dokształcić. To zaangażowanie było bardzo budujące. ■



ks. Piotr CHMIELECKI SCJ

300 DNI WOJNY

Pod koniec grudnia 2022 roku kilka rzeczy wydarzyło się w moim życiu pierwszy raz... Pierwszy raz spędziłem Boże Narodzenie poza Polską – w kraju, w którym trwa wojna. Pierwszy raz prowadziłem busa załadowanego pomocą humanitarną. Pierwszy raz sam przekraczałem granice: polsko-ukraińską i ukraińsko-polską.



Historia zaczęła się w listopadzie. Wtedy w moim sercu i w mojej głowie pojawił się pomysł, aby na Boże Narodzenie pojechać na Ukrainę. Nie chodziło oczywiście o wycieczkę krajoznawczą, ale o zawieszenie tam pomocy i też odrobiny nadziei... Chociaż ludzie, których spotykałem w zachodniej Ukrainie, nie doznają głodu ani zimy, to jednak na pewno cierpią psychicznie. Świadomość, że w każdej chwili może spaść na nich raketa, jest po prostu przytłaczająca. Ci ludzie bardziej niż chleba potrzebują obecności, rozmowy, modlitwy i nadziei na lepsze jutro, na koniec wojny.

Szukałem możliwości wyjeżdżania przed świętami na Ukrainę. Chciałem znaleźć transport dla siebie i produktów, które zamierzałem zabrać. Pomyślałem, że z moimi potrzebami warto zadzwonić do dyrektora Caritasu, do Lublina. Przez pomyłkę zamiast zadzwonić do księdza Tomaszewskiego, zadzwoniłem do księdza Bartoszewskiego. Z tym drugim już bardzo dawno nie miałem kontaktu, więc nadarzyła się okazja, żeby porozmawiać. A że on również organizował pomoc dla Ukrainy, to chyba nawet się nie zorientował, że to tak naprawdę pomyłka. Pod właściwy numer już nie zadzwoniłem, bo na dziesiątych urodzinach Profeto (sercańskiego portalu ewangelizacyjnego i radia) spotkałem księdza Macieja Gierulę. Wiedziałem, że Maciek prowadzi fundację, której zasadniczą misją jest pomaganie

w Gruzji. Powiedziałem mu, że chcę jechać na Ukrainę i zawieźć tam pomoc. A on mi na to: „To świetnie, bo z naszej fundacji wyjechało już około 40 transportów z pomocą na Ukrainę, mamy busy, magazyn, kierowców-wolontariuszy, ale właśnie skończyły się nam pieniądze i darowizny rzeczowe”. Po kilku minutach rozmowy sprawa była dogadana – jedziemy razem na Boże Narodzenie na Ukrainę.

Im bliżej było wyjazdu, tym trudniej było ustalić wspólne priorytety. Mnie zależało również na spotkaniu ze znajomymi Sercanami, a Maciek chciał przede wszystkim zawieźć pomoc. Kompromis polegał na tym, że ostatecznie każdy z nas wsiadł do innego samochodu w innym czasie. Ja wyjechałem z Rzeszowa 21 grudnia, a ksiądz Maciek dwa dni później. Ja wróciłem 27, a on 24 grudnia (maratoński wyczyn!). Razem przejechaliśmy nieco ponad dwieście kilometrów, z Nowogrodu Wołyńskiego do Kijowa. Naszym wspólnym „marzeniem” było dotarcie na wschód Ukrainy, najlepiej do Chersonia, do ludzi, którzy bezpośrednio ucierpieli przez działania wojenne.

Granicę polsko-ukraińską pokonałem bardzo szybko. Ale przyznam, że serce biło mi mocniej, kiedy dojechałem do szlabanu. Można jechać dalej czy nie można? W której kolejce powinienem stanąć? Mogę powiedzieć, że w tym czasie moja pobożność wzrosła. Wielokrotnie przywoływany przeze mnie Anioł Stróż nie zawiódł! Po około



godzinie byłem po drugiej stronie granicy. Moja kolejna obawa była związana z tym, co pozostawiła po sobie na drodze zima. Na szczęście dla mnie – niedoświadczonego kierowcy większego auta – przyszła odwilż. Na ulicach leżały już tylko resztki śniegu i lodu. Postanowiłem więc zaryzykować i pojechać do Gródka koło Lwowa, do Sióstr Pallotynek. To z ich polecenia, zaraz po wybuchu wojny, w naszym domu zakonnym w Olsztynie zamieszkała jedna ukraińska rodzina z tych okolic. Odwiedziny u sióstr miały też wymiar bardzo praktyczny. Zostałem im dużo konserw i zapas mąki. Pozbycie się części ładunku okazało się zbawienne w dalszej

podróży po bardzo nierównych i dziurawych drogach. Około 21:00 dojechałem do celu, czyli Pierszotrawieńska, do parafii Księży Sercanów.

Kolejnego dnia rozładowaliśmy znaczną część towarów do parafialnego garażu. Zostaną później zawiezione na wschód kraju – do ludzi, którzy żyją tam teraz bez prądu, ogrzewania, a czasem i bez jedzenia... Reszta pomocy pojechała do miejscowego centrum wolontariatu. Jego działanie i pomoc są skoncentrowane na uchodźcach wewnętrznych i żołnierzach powołanych do służby, pochodzących z Pierszotrawieńska. Atmosfera w tym miejscu była zupełnie inna niż w kwietniu. Zaskoczyły mnie

zamknięte drzwi. Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem w środku moje znajome. Radość ze spotkania była wielka. W pomieszczeniu znajdowało się dość dużo rzeczy – głównie artykułów spożywczych i kosmetycznych. Dziewczyny chwaliły się nowymi patentami na pomoc żołnierzom. Najbardziej spodobała mi się przygotowywana przez nie „zupa instant” (ryż, suszona cebula i grzyby) oraz dołączona do niej instrukcja obsługi, jak w warunkach polowych przyrządzić takie danie. Kolejnego dnia pojechaliśmy z paczkami do uchodźców wewnętrznych. Kilka spotkań było dla mnie bardzo wzruszających. Trudno jest słuchać opowieści ludzi, którzy przez rosyjskie bomby stracili domy. Jedna z kobiet pokazywała nam nagranie zrobione przez ukraińskiego żołnierza przed jej blokiem w Chersoniu. Rosjanie ostrzelali i spalili ich mieszkania, kiedy już tam nikt nie mieszkał, więc teraz nie mają do czego wracać... Niektórzy z obdarowanych płakali chyba tylko dlatego, że doświadczyli bezinteresownej dobroci.

Towary przywiezione przeze mnie z Polski pojadą do Iziumu. To miasto na wschodzie Ukrainy, które po zaciętych i krwawych walkach zostało odbite z rosyjskich rąk. Ksiądz Jan Podobiński, sercański proboszcz z Pierszotrawieńska, zorganizował pomoc od Ukraińców dla Ukraińców. Oprócz darów z Polski zawsze w takim transporcie pomocy jadą również ziemniaki, chleb, *sało* (ślonina) oraz różnego rodzaju gotowe dania zamknięte

w słoikach. „W Iziumie korzystamy z pomocy miejscowych wolontariuszy, którzy jadą z nami do domów osób naprawdę biednych. Kiedy zaczęliśmy rozdawać paczki na rynku, to od razu zleciało się wiele różnych ludzi, ale właśnie dzięki dobrze zorientowanym mieszkańcom pomoc trafia we właściwe ręce. Zapraszamy też ludzi do wspólnej modlitwy. Zaledwie kilka osób znało ‘Ojcze nasz’. Jadąc przez Izium, rozglądałem się za wieżami cerkwi i kościołów. Na trasie naszego przejazdu nie znalazłem ani jednej! W naszych paczkach były też modlitewniki z moim numerem telefonu. Trzy osoby, które otrzymały pomoc, zadzwoniły potem do mnie. Ta nasza pomoc to też takie ewangeliczne sianie” – opowiadał mi ksiądz Jan.

23 grudnia po południu siedziałem już w busie prowadzonym przez księdza Macieja. Kierunek – Kijów. Po 16:00 dojechaliśmy do parafii Ojców Karmelitów. Tam usłyszeliśmy stanowcze „nie” dla planów podróży do Chersonia. Mówili: „Nie jedźcie tam, to teraz zbyt niebezpieczne”. Serwisy informacyjne pokazały, że mieli rację. Kolejnego dnia na centrum Chersonia spadło kilka rosyjskich rakiet. Zginęło wielu cywilów. Rozpakowaliśmy więc przywiezioną pomoc i wieczór spędziliśmy na słuchaniu wojennych opowieści. Dwóch zakonników pełniło funkcję kapłanów wojskowych. Pokazywali nam zdjęcia z okopów, z linii frontu, przedstawiające poranionych żołnierzy, również tych, którzy już



zginęli. Oglądałem filmiki z ich „pracy”, z modlitwy z żołnierzami przed rozpoczęciem bitwy. Wywarło to na mnie olbrzymie wrażenie, gdy widziałem, jak postawni i uzbrojeni mężczyźni oddawali w modlitwie swoje życie Bogu.

Kolejnego dnia – w wigilię Bożego Narodzenia – pożyczyłem samochód od moich gospodarzy, zabrałem trochę produktów i ruszyłem w drogę do parafii Księży Sercanów w Irpieniu. Przez tę podkijowską miejscowość w marcu Rosjanie próbowali szturmować stolicę Ukrainy. Przerazający jest widok spalonych i zburzonych bloków. Setki rodzin straciły dach nad głową. Kiedy oglądaliśmy zniszczenia wojenne, z głośników rozległ się alarm przeciwlotniczy. Syreny wyły: „UŁŁŁŁuuuuu, uŁŁŁŁuuuuu...” przez dobre pięć minut. Serce zaczęło mi mocniej bić. W sumie to nawet nie wiadomo, gdzie uciekać, gdzie jest bezpiecznie. Jednak



ludzi, którzy byli razem z nami na ulicy, zupełnie to nie przestraszyło. Zdążyli się przyzwyczaić.

Wieczorem spotkałem się jeszcze raz z moimi współbraćmi na kolacji wigilijnej. Karmelici i Sercanie świętują razem. Na pasterce byłem u Karmelitów w Kijowie. Duszpasterze trochę obawiali się o to, ile osób będzie uczestniczyło we Mszy Świętej – czy ludzie nie będą bali się przyjść. W każdej chwili

Rosjanie mogą „wyłączyć światło” w Kijowie, czyli zbombardować miasto. Wigilijny wieczór był jednak spokojny. Niewielki kościółek wypełnił się po brzegi. Kiedy wchodziliśmy w długiej procesji na rozpoczęcie Eucharystii, kilka moich łez spadło na posadzkę. Boże Narodzenie, piękna kolęda „Wśród nocnej ciszy” wyśpiewywana przez scholę i mieszkańców, przygaszone światła, nieustanne ryzyko ataków rakietowych – to wszystko tworzyło wyjątkową atmosferę, w której Bóg przychodził do nas.

Proboszcz parafii poprosił mnie o wygłoszenie kazania. Wraz z ukraińskim Karmelitą przygotowaliśmy jego tłumaczenie. Przypomniał mi się żart, który zaplanowałem na koniec swojej wypowiedzi: „W przedszkolu pani katechetka przygotowała z dziećmi jasełka. Główną rolę postanowił odegrać jednak karczmarz, do którego gospody zapukali Józef i Maryja, desperacko poszukujący noclegu w Betlejem. Lada chwila miał się narodzić Jezus. Pukają do karczmy





i pytają gospodarza o wolne miejsca, a on na to: 'Zapraszam, zapraszam, mamy dużo wolnych miejsc!'. Maryja spojrzała z wielkim zdziwieniem na Józefa. Pani katecheta zaczęła panikować... Więc Józef pyta jeszcze raz: 'Czy znajdzie się dla nas tu miejsce?'. A gospodarz na to: 'Już wam mówiłem, że mamy wolne miejsca'. Chłopiec grający Józefa wziął sprawy w swoje ręce i powiedział do żony: 'Maryjo, idziemy stąd, nie stać nas na ten hotel!'. Ku mojemu zdziwieniu większość ludzi śmiała się już podczas słuchania puenty w języku polskim. Temu opowiadaniu towarzyszyły też życzenia, aby mimo dramatu wojny nie tracili pogody ducha i nadziei – że jutro będzie lepiej, że gdzieś na horyzoncie jest zakończenie wojny.

Na poranną Eucharystię w Boże Narodzenie pojechałem do Księży Sercanów do Irpienia. Około południa kolega z czasów seminaryjnych – ksiądz Andriej Olejnic SCJ – zabrał mnie samochodem do Pierszotrawieńska. Kiedy



byliśmy już na miejscu, w mojej „bazie wypadowej”, wybrałem się na jeszcze jedno spotkanie, które było dla mnie zdecydowanie najciekawsze i jednocześnie najtrudniejsze. W Pierszotrawieńsku mieszka z rodziną mój kolega z nowicjatu zakonnego – Aleksander (Sasza). Myśląc o życiu zakonnym, przebywał w Polsce około dwóch lat i chyba dlatego ominęła go zasadnicza służba wojskowa. Kiedy zrezygnował z formacji zakonnej, wrócił na Ukrainę, gdzie założył rodzinę. Trzy miesiące temu jednak armia upominała się o niego – trafił na szkolenie. Na czas Bożego Narodzenia

dostał przepustkę. Rozmawialiśmy na przeróżne tematy, ale oczywiście głównie o różnych wymiarach wojny. Dowiedziałem się, że w tym momencie armia ukraińska liczy już dwa miliony ludzi (24 lutego 2022 roku było tylko 300 tysięcy żołnierzy). Powiedział mi też, że jego nowo powstały batalion miał być relokowany na wschód Ukrainy, ale zostają jednak pod Żytomierzem. Mają czekać na kolejną ofensywę od strony Białorusi. Ponoć Rosjanie czekają tylko na mróz... Rozmawialiśmy również na temat zawarcia rozejmu i jego ceny. Sasza i jego żona twierdzą, że pokoju w najbliższych



miesiącach nie będzie, dopóki Ukraina nie odzyska wszystkich swoich ziem. „A co, jeśli Amerykanie przestaną dostarczać Wam pociski i nie będzie czym strzelać?” – pytam. „To żołnierze przejdą do walki partyzanckiej” – dostaję odpowiedź. Prezydent Zelen-ski dobrze o tym wie, dlatego nie może w tym momencie negocjować z Putinem. Sasza odwiózł mnie na plebanię. Pożegnanie było dla mnie bardzo trudne. Oczywiście wierzę, że jeszcze się spotkamy! Ale wiem też, że wojna ma swoje prawa...

Na koniec mojej relacji – subiektywna ocena tego, jak żyje się dziś na Ukrainie, i kilka myśli związanych z pomocą humanitarną. Zobaczyłem, że zachodnia Ukraina (do Kijowa) funkcjonuje całkiem normalnie. W sklepach wszystko jest dostępne, a na stacjach benzynowych można kupić



paliwo. Największym problemem w tej części kraju jest bieda. Rozmawiałem z pielęgniarką ze Lwowa i zapytałem o jej zarobki. Dostaje co miesiąc 12 000 hrywien, czyli niecałe 1500 złotych. Ceny na Ukrainie są teraz tylko trochę niższe niż w Polsce.

Dalej mamy Kijów – pięciomilionowe miasto, nieustannie pod ostrzałem rakietowym. Plan Rosjan na to miasto jest dość widoczny. Chodzi o to, żeby ta masa ludzi opuściła swoje mieszkania. Jak mówi mer Kijowa: „Jeśli przez trzy dni będzie mróz i jednocześnie nie będzie prądu, to żeby nie dopuścić do rozsadzenia rur wodociągowych, woda zostanie spuszczone. Napełnić sieć ponownie będzie można dopiero na wiosnę. Większość ludzi wyjedzie wtedy na wioski i do małych miast, skąd pochodzą. Ale milion czy dwa ruszy do innych krajów Europy...”

A dalej jest wschód Ukrainy. Miejscowości, gdzie jeszcze do niedawna byli Rosjanie albo gdzie nadal toczą się walki. Sasza mówił mi, że w Chersoniu ludzie głodują. Często żołnierze dzielą się z cywilami swoim chlebem, bo jedyna piekarnia

w mieście pracuje dla wojska. Zwykli mieszkańcy muszą sobie „jakoś radzić”.

Olbrzymim problemem jest to, że transporty pomocy humanitarnej z Polski czy z innych części świata trafiają tylko do Lwowa, a najdalej do Kijowa. Mało pomocy dociera na wschód – tam, gdzie jest najbardziej potrzebna. Dlatego proszę Was o to, abyście się interesowali tym, gdzie trafi pomoc, której udzielicie. A druga prośba jest taka, żeby – oprócz ofiarowania jakichś rzeczy czy produktów – zbierać też pieniądze na benzynę, aby pokryć koszty transportu tej pomocy w głąb kraju.

Z Ukrainy wróciłem z pozytywnymi doświadczeniami. Przede wszystkim widziałem w Ukraińcach mobilizację i wzajemne wsparcie. Jest też w nich dużo nadziei na zakończenie wojny i na zwycięstwo. Wierzą w to, że Bóg ich nie opuścił, choć idą teraz ciemną doliną. ■



POMOC MISJOM „BEZ PIENIĘDZY”

zbieramto

zbieramto

Masz w domu szkatułki pełne starej biżuterii albo szuflady wypchane starymi telefonami? A może kolekcjonujesz zegarki na rękę? Wyślij je do naszego biura w Olsztynie, a my wykorzystamy je do pomocy misjom!

Jeśli jesteś Darczyńcą INDYWIDUALNYM, możesz nam wysłać:



zniszczone srebro i złotą biżuterię
(zerwane łańcuszki, kolczyki bez pary, pęknięte pierścienie)



„Dobre monety”, czyli polskie grosze i złotówki oraz pieniądze z całego świata
(zarówno aktualne, jak i wycofane z obiegu)



stare telefony komórkowe
(z przyciskami i smartfony)



zepsute laptopy i tablety



zegarki tarczowe

Jak to zrobić?

Nadaj przesyłkę rejestrowaną (list lub paczkę) na adres:
ul. Rakowa 11 ■ 10-185 Olsztyn
tel. 537 411 405 ■ e-mail: kontakt@misjesercanow.pl

www.zbieramto.pl

zbieramto
w szkole

Jesteś nauczycielem i chcesz zachęcić uczniów do pomocy innym? Dołącz do projektu „Zbieramto w szkole”! Możesz zorganizować zbiórkę surowców w szkole, przedszkolu czy na uniwersytecie i uzyskać nagrody dla uczestników.

W PLACÓWKACH EDUKACYJNYCH ZBIERAMY:



zniszczone srebro i złotą biżuterię



zepsute telefony komórkowe, tablety i laptopy



odzież używaną



„Dobre monety”, czyli monety i banknoty
(zarówno aktualne, jak i wycofane z obiegu)



klocki LEGO



zużyte baterie



zegarki tarczowe

Jak dołączyć?
Skontaktuj się z koordynatorką projektu „Zbieramto w szkole”:
tel. 507 481 511 (w godzinach 8:00–15:00)
e-mail: kontakt@zbieramtowszkole.pl

www.zbieramtowszkole.pl



zbieramto w parafii

Działasz aktywnie przy parafii?
Lubisz organizować akcje angażujące wspólnotę
parafialną? Zaproponuj swojemu proboszczowi
„Zbieramto w parafii”.

PRZY PARAFIACH ZBIERAMY:



makulaturę
(niepotrzebne książki, gazety, wydruki)



elektrośmieci (laptopy, akumulatory,
lodówki, pralki, telewizory, radia)



złom (stalowe przedmioty,
puszki aluminiowe)

Jak zorganizować zbiórkę?

Skontaktuj się z koordynatorem projektu
„Zbieramto w parafii”:
tel. 798 848 487
e-mail: baterie@zbieramto.pl



Prowadzisz firmę, hotel lub ośrodek rekolekcyjny?
Chcesz pomóc misjom, pijąc wodę? Zamów „wodę z misją”!

Przy zakupie wody na naszej stronie internetowej producent firmy
Staropolanka przeznacza 10% wartości zamówienia na budowę studni
w Czadzie. Wodę sprzedajemy na paletach. Dostawa jest darmowa.

Jak kupić wodę?

Złóż zamówienie na stronie:

www.wodazmisja.pl

COR/SS

piękno, które pomaga

Lubisz piękną biżuterię? Zależy Ci, żeby to, co nosisz,
pokazywało Twoje życiowe wartości? Zobacz, co tworzymy
ze starego srebra i złota, którym dajemy nowe życie!
Robiąc zakupy, możesz pomagać. Zysk ze sprzedaży
krzyżyków sercańskich i innych produktów
przeznaczamy na budowę studni w Afryce.

Jak pomóc?

Kup biżuterię w sklepie on-line:

www.coriss.pl

Dajmy czadu, WYBUDUJMY STUDNIĘ W CZADZIE

Dorota MAZUR

Duży worek srebrnych „odpadków” biżuteryjnego złomu, cztery kilogramy miedzianych drobniaków, książki z likwidowanej biblioteki na zebranie środków „makulaturowym sposobem”... Z niczego można zrobić coś fajnego i pan Ryszard Skonieczek – mieszkaniec gminy Lubrza oraz zapalony kajakarz, prowadzący prawie 20 lat wypożyczalnię kajaków, a przede wszystkim mąż jednej żony od 38 lat – jest tego najlepszym przykładem. Sam siebie nazywa „niespokojną duszą o społecznikowskim ADHD”.

Pan Ryszard, który od kilku lat prenumeruje tygodnik katolicki „Niedziela”, trafił w nim na artykuł o Sercanach, konkretnie o ich działalności misyjnej. Spośród licznie opisanych tam dzieł, mających na celu pomoc misjom w sposób bardzo szeroko rozumiany, najbardziej przemówiła do niego informacja o budowie studni w Czadzie. Jak sam oznajmia: „Początkowo wpłacałem darowiznę na konto ogólne, ale z czasem pomyśleliśmy z żoną, by zasponsorować ze swoich własnych środków wybudowanie jednej studni”.

Pomoc jako taka nie jest panu Ryszardowi i jego rodzinie obca, bo jak mówi: „Od zawsze staraliśmy się wspierać innych będących w potrzebie, a od 12 lat pomagam rozprowadzać cebulki żonkili, tym samym zbierając fundusze na hospicjum. Za cel przyjąłem sobie, że nasza gmina rozprowadzi 3500 cebulek, czyli tyle, ilu jest mieszkańców. Nawet w szkole ogłaszam konkurs na to, która klasa rozprowadzi więcej cebulek w swoim gronie, to uczy dzieci wielu pozytywnych odruchów względem drugiego człowieka, a także pozytywnej rywalizacji. Do akcji zachęcam również radnych, sołtysów, strażaków, pracowników Urzędu Gminy oraz mieszkańców naszej niedużej społeczności”.

Studnia „Lubrza”

Idąc za ciosem powstałego pomysłu i chęcią wcielenia go w życie, pan Ryszard zadzwonił do biura



Sekretariatu Misji Zagranicznych Księży Sercanów, by podzielić się nim, jednocześnie zadając pytanie, czy istniałaby możliwość nadania zasponsorowanej studni jakiegoś konkretnego imienia. Pan Ryszard marzył o nazwaniu studni imieniem „Lubrza”, od nazwy miejscowości, której jest mieszkańcem. Chociaż starania są indywidualne, niezwiązane bezpośrednio z zajmowanym przez pana Ryszarda stanowiskiem w Urzędzie Gminy, to czasem łączą się z działaniami podejmowanymi przez gminę, na przykład przy okazji festynów.

W biurze sekretariatu – jak podkreśla pan Ryszard – udzielono mu wszelkich potrzebnych informacji. A wspomina to tak: „Za pierwszym razem trafiłem na bardzo miłą panią, która zapewniła mnie, że jak najbardziej możliwe jest nazwanie studni wskazaną przeze mnie nazwą. Muszę przyznać, że ta rozmowa, jak i każda kolejna, przekonała mnie, że w biurze pracują

bardzo pozytywne, życzliwe i ciepłe osoby, które – gdy dzwonią darczyńcy – zawsze porozmawiają z życzliwością. Powoduje to efekt domina – gdy otrzymasz ciepło, to wówczas twój wewnętrzny plan czynienia dobra wykonujesz z jeszcze większą energią, zaangażowaniem i mocą”.

Pan Ryszard osobiście dokłada wszelkich starań do zebrania kwoty na wybudowanie studni i podkreśla, iż te czynności powodują tak wielką, wewnętrzną radość, że ma jeszcze więcej sił do działania na rzecz gminy i jej mieszkańców. „Dobro na rzecz innych daje radość serca i nakręca, a każda wpłacana kwota na wymarzoną studnię dodaje powera” – mówi pan Ryszard.

Od pomysłu do realizacji

Pierwsze wspomniane ogólne wpłaty i te kolejne już typowo z przeznaczeniem na studnię „Lubrza” to jedna strona medalu. Druga zaś

to różnorakie akcje mające służyć zebraniu środków w szybszym tempie.

Pierwszym sposobem stała się zbiórka złomu srebra i złota, co – jak opowiada pan Ryszard – „przyszło w sposób bardzo naturalny, bo kiedy na stronie zbieramto.pl przeczytałem o możliwości zbiórek złomu srebra i złota, to postanowiłem wykorzystać tę ideę; spytałem mojego prywatnego mecenasa, czyli żonę, czy nie ma w swoich zasobach biżuteryjnych wybrakowanych kolczyków lub zepsutych łańcuszków”. Okazało się, że żona pana Ryszarda bardzo lubiła wyroby ze srebra i miała ich niezły zasób, który w całości przeznaczyła na ten cel. Dołączyła również synowa państwa Skonieczków, dorzucając jeszcze nieco ze swoich własnych zasobów biżuteryjnych. „I to podbudowuje – kontynuuje pan Skonieczek – że moje dzieci (jestem dojrzałym



młodzieńcem z sześćdziesiątką na karku, posiadającym jednego syna, synową i dwoje wnucząt) też kręci czynienie dobra”.

Pan Ryszard, mający w swoim gronie współpracowników prawie same kobiety, popytał panie pracujące w biurze Urzędu Gminy (bez

ogłaszania jakiegokolwiek oficjalnej gminnej akcji, ale taką prywatną ścieżką), czy i one nie mają czegoś „na odrzut”. Tym sposobem w niedługim czasie do Olsztyna wyruszyła pierwsza przesyłka srebrnego kruszcu na ten konkretny cel – przebiegający niezmiennie pod hasłem: studnia „Lubrza” w Czadzie.

Innym sposobem, którego wypróbowania podjął się pan Ryszard, stała się zbiórka „miedziaków”, czyli groszówek, dwugroszówek i pięciogroszówek. I tak – zastosowanym już przy „akcji srebro” sposobem pozyskiwania w gronie rodziny (tu mocno włączyli się najmłodsi, wnuczka Ania i Antoś, ze swoimi skarbonkami), przyjaciół i współpracowników – udało się zebrać 3,8 kilograma w „brzęczącej monetcie”. Paczka szybko została przesłana do biura w Olsztynie.





Kolejnym pięknym i udanym pomysłem było wykupienie przez pana Ryszarda, za własne środki finansowe, książek z jednej z likwidowanych bibliotek. W rodzinnej wypożyczalni kajaków stworzył kącik, w którym przygotował półkę, umieścił na niej wspomniane książki i nad nimi baner: „Dajmy czadu, wybudujemy studnię w Czadzie”. Na półce postawił też pudełko – symboliczną skarbonkę, do której klienci wypożyczalni kajaków mogli wrzucać symboliczne złotówki na budowę studni.

Pan Ryszard rozmawiał też ze swoimi klientami o akcji, co jest bardzo ważne, bo jak podkreśla: „W rozmowach uświadamiamy sobie niejednokrotnie, jak my żyjemy tutaj w Europie, a jak żyją inni ludzie na drugim kontynencie – tam każda kropla wody ma rangę bezcennego płynu życiodajnego. Dlatego też w okresie

jesiennie-zimowym, kiedy sezon turystyczny (a w tym ten kajakowy) jest zakończony, segreguję książki tematycznie na: historyczne, przygodowe czy inne i pakuję je w paczki. Wieczorem zaś wychodzę na dwie lub trzy godziny na tak zwane żebry. Idę na wieś i pukam do domów, tłumacząc, na co zbieram datki”. Każde takie wyjście jest dla pana Ryszarda emocjonalnym przeżyciem, bo cieszy się, że ktoś słyszał o tej inicjatywie, a ktoś inny o niej nie wiedział, ale po rozmowie z panem Ryszardem jest zaintrygowany i chce się przyłączyć do akcji. Zdarzyło się nawet, że jedna mieszkanka po kilku dniach przyniosła swój zapas książek z przeznaczeniem na zebranie w ten sposób środków finansowych.

Także na gminnych kiermaszach pan Ryszard pojawia się ze wspomnianym banerem wymyślonym przez siebie. Jak podkreśla rozmówca: „Daje mi to dużo radości i energii do działania, bo to kolejna okazja na zbiórkę funduszy. Na festynach jestem obecny

z racji urzędowego stanowiska i dzięki temu na swoim terenie mam możliwość przedstawienia, że istnieje takie miejsce na Ziemi jak Czad. Opowiadam też o Zgromadzeniu Księży Sercanów, którzy okazują serce najbardziej potrzebującym, i to działa, bo czasami z takiego festynu przywożę 100–150, a czasami nawet 300 złotych”.

Poza tym na święta Bożego Narodzenia państwo Skonieczkowie nie kupili sobie nawzajem prezentów, a środki, które mieliby przeznaczyć na ten cel, ofiarowali na budowę studni „Lubrza”. Zakładany plan się powiódł, bo do końca 2022 roku udało się zebrać pełną kwotę na budowę pierwszej studni w Czadzie!

Pan Ryszard nie spoczywa na laurach. W planach ma zebranie środków na kolejną studnię: „Lubrza II”. Dziękując za dotychczasową inicjatywę, mamy nadzieję, że szybko spełni się marzenie pana Ryszarda o drugiej studni w Czadzie. ■





SREBRO na wagę ZŁOTA

| ks. Piotr CHMIELECKI SCJ

Pierwsze krzyżyki sercańskie dostaliśmy w postulacie. Podarował je nam Sercanin pracujący w Niemczech. Były śliczne, wykonane z drewna oliwnego. Mój był dla mnie niczym „relikwia”, bo w Polsce nie mieliśmy do nich dostępu. A ja tak bardzo chciałem mieć ich pod dostatkiem, aby móc je rozdawać...

Bardzo niewiele brakowało, a w tym momencie byłbym misjonarzem na Filipinach. Jednak podczas rozmowy z księdzem prowincjałem, który zgodził się na mój wyjazd, powiedziałem, że mam kilka pomysłów, jak pomagać naszym misjonarzom. Po tej rozmowie już nie szukałem linii lotniczej, którą polecę do Azji, ale zacząłem się zastanawiać, jak moje marzenia o pomaganiu misjom przekuć w konkretne działanie. Ksiądz prowincjał pozwolił, abym w ciągu roku spróbował zrealizować swój pomysł.

Jednym z pomysłów, który przedstawiłem na tej rozmowie, była produkcja krzyżyków sercańskich. Miały być one cegiełkami na rzecz misji. Mówiłem: „Kupimy dużo i tanio, sprzedamy drogo, a zyski przeznaczymy dla misjonarzy”. Wiedziałem, że w Belchatowie jest jubiler, który produkuje nasze krzyżyki ze srebra. Namówiłem więc mojego nowego przełożonego – sekretarza misji zagranicznych – abyśmy tam pojechali i przeprowadzili negocjacje. Z racji tego, że krzyżyki miały być sprzedawane głównie przy kościołach czy też znajomym, to powiedziałem panu jubilerowi, że faktury nie potrzebuję. Wydaje mi się, że on się nas przestraszył. Może pomyślał, że skarbówka przyszła do niego przebrana za księżę... Moje plany zakupowe i propozycje przewalała niezręczna cisza. Sekundy się przedłużały. W końcu jednym zdaniem pan jubiler odmówił i podał inne rozwiązanie: „Jeśli



dostanę materiał (srebro, złoto), to wyprodukuję krzyżyki taniej”. Po prostu geniusz! Kiedy wracaliśmy do Warszawy, dotarło do mnie, że mamy w rękach „bombę atomową” dobroczynności. Pytanie tylko: jak ją odpalić? Jak i gdzie zebrać stare srebro i złoto, aby można je było potem przerobić na nowe krzyżyki?

Opowiedziałem o tym pomysle mojej mamie. Ona pracowała w obszarze pomocy społecznej, opiekując się osobami niepełnosprawnymi. Miała doświadczenie w pozyskiwaniu pomocy i wsparcia dla swoich podopiecznych. Wysłałem jej nasze plakaty zachęcające do oddawania



niepotrzebnej biżuterii. Mama zanośła je do kilku sklepów w naszym miasteczku. Efekt... Nic. Żadnego zainteresowania. Klęska. Ani grama starego srebra. Nikt nie pojawił się z darami. Na plakacie było napisane, że srebrny złom należy przynieść do jej pracy. Dziś już wiem, że to był błąd. Darczyńca powinien mieć możliwość łatwego przekazania swojego daru. A ja mu sugerowałem jeszcze zanieść go w określone miejsce. Pierwsza klęska nas jednak nie załamała. Mama poszła do księdza proboszcza i poprosiła o ogłoszenie takiej zbiórki z ambony. A że człowiek ten miał pogodne usposobienie, to bez problemu się zgodził. W jedną niedzielę było ogłoszenie, a w kolejną zbiórka po Mszach Świętych. Pojechałem do domu rodzinnego w niedzielę, w którą odbywała się kwesta. Po ogłoszeniach parafialnych dostałem szansę, żeby powiedzieć kilka zdań o misjach Księży Sercanów. Stałem

potem przed kościołem z wiklinowym koszykiem. Bałem się, czy ktośkolwiek do mnie podejdzie... A tu: bam, bam, bam, jeden po drugim wpadały do koszyka woreczki ze szlachetnym złomem. Niesamowite! To zadziałało! Trzeba o starym srebrze mówić w parafiach. To był styczeń 2013 roku. Tak zaczęła się zbiórka starej biżuterii na masową skalę, tak też narodził się projekt Zbieramto.

Akcja została jeszcze dopracowana. Powstały ulotki. Potrzebny był też wolontariat. System zbiórki starej biżuterii najlepiej działał tak, że w jedną niedzielę głosiłem kazania i mówiłem, o co chodzi w tej akcji charytatywnej, a w kolejną wolontariusze zbierali dary i sprzedawali krzyżyki sercańskie. Zdarzały się takie okresy, gdy działałem z wolontariuszami „na zakładkę”. W parafii, gdzie w poprzednią niedzielę siałem Słowo Boże i ideę pomocy misjom, tydzień później pracowali już nasi wolontariusze, a ja w tym samym czasie stawałem na ambonie w kolejnej parafii. Dziś przypominam sobie, że ten czas to było szaleństwo. Ale, jak mówi przysłowie, w tym szaleństwie była metoda. Działo się dużo dobra. I to nie tylko na misjach, lecz także w parafiach, gdzie prowadziliśmy te szczególne kwesty.

Na pewno bardzo ważny był i jest cel, na który ogłaszamy zbiórkę starych precjozów. W pierwszych latach była to budowa domów dla ofiar tajfunu Sendong na Filipinach. W grudniu 2011 roku tropikalny sztorm spustoszył Cagayan



de Oro na filipińskiej wyspie Mindanao. Zginęło 1200 osób, 9000 domów zabrała woda. Kilka zakonów postanowiło, że połączą siły w niesieniu pomocy, i tak zaczęła się budowa Wioski Matki Bożej Miłosierdzia w Opol. Wybudowano tam 600 domów, z czego kilkanaście powstało dzięki naszej zbiórce srebrnej i złotej biżuterii oraz kiermaszowi krzyżyka sercańskiego. Bóg dał mi łaskę podróży na Filipiny i wizyty w Opol. To było

niesamowite przeżycie spotkać osobiście rodziny, które mieszkają w „naszych domach”, powstałych dzięki Zbieramto.

Kiedy wioska na Filipinach została wybudowana, szukaliśmy nowego celu dla akcji zbiórki szlachetnego złomu. Zdarzyło się tak, że akurat w tym czasie na wakacjach przebywał w Polsce ks. Marian Wenta,

sercański misjonarz z Czadu. W jednej z naszych rozmów wspomniał o pieniądzach, które obiecała mu pewna wspólnota na budowę studni głębinowej. Zapytałem go wtedy: „A ile potrzeba tych studni?”. Ksiądz Marian tylko uśmiechnął się i odpowiedział: „Nieskończoną ilość. Setki wiosek, gdzie prowadzimy misję, czekają na studnie. Ludzie piją wodę ze stawów, rzek lub prowizorycznie kopanych studzienek. Często piją z tego samego źródła co zwierzęta. Dużo ludzi z tego powodu choruje, dzieci nawet umierają. Studnie to nowe życie dla wioski pod każdym względem. Taki dar dla Czadyjczyków to też wielka pomoc dla mnie w głoszeniu Ewangelii”. I tak zaczęła się dalsza przygoda ze Zbieramto. Dzieło misyjne Księża Sercanów wybudowało już ponad 200 studni w Czadzie, z czego kilkadziesiąt dzięki setkom kilogramów srebra i złota, które zostało podarowane, abyśmy mogli „zamienić je” w wodę.

ZORGANIZUJcie ZBIÓRKĘ STAREJ BIŻUTERII W SWOJEJ PARAFII!

JAK TO ZROBIĆ?

1. Istnieje możliwość zaproszenia jednego z Księża Sercanów z biura misyjnego na niedzielne kazania, podczas których wyjaśni on cel i przebieg akcji. Przy zbieraniu srebrnego i złotego złomu mile widziana jest pomoc miejscowych wolontariuszy!
2. Akcja „korespondencyjna”. Po kontakcie telefonicznym czy też mailowym z nami prześlemy ulotki, treść ogłoszeń parafialnych oraz udzielimy każdej możliwej pomocy, abyście sami, we wspólnocie parafialnej, mogli taką akcję przeprowadzić.

PROJEKTY REALIZOWANE W 2022 ROKU:

Czad

Budowa studni **347 539 zł**

Budowa i wyposażenie szkoły dla niewidomych dzieci w Mundu **265 975 zł**

Utrzymanie szkoły parafialnej **9 544 zł**

Budowa kaplicy na nowej misji **378 517 zł**

Tanzania

Budowa studni **444 956 zł**

Sprzęt do wiercenia **338 171 zł**

Kuchnia i pralnia dla chorych w Dar es Salaam **217 034 zł**

Kongo

Jubileusz 125 lat sercanów w Republice Konga **14 490 zł**

Formacja katechistów **14 821 zł**

Angola

Piekarnia hostii w Luandzie **276 627 zł**

Uganda

Odbudowa szkoły w Pabo **242 200 zł**

Kamerun

Budowa studni **33 113 zł**

Wsparcie Sióstr Józefitek **2 425 zł**

Proteza dla Sorelle, studentki medycyny **9 588 zł**

REPUBLIKA ŚRODKOWOAFRYKAŃSKA

Bezpieczna Mama **51 400 zł**



FILIPINY

Adopcja Serc **297 506 zł**

Dożywianie i edukacja dzieci **87 275 zł**

Kształcenie kleryków **65 565 zł**



MISJE SERCANÓW

Indie



Budowa domów dla ubogich rodzin **186 659 zł**



BOLIWIA

Adopcja Miłości w Cochabambie **50 500 zł**

Adopcja Nadziei w Santa Cruz **415 631 zł**

Rozbudowa kościoła w Concepción **35 000 zł**



ALBANIA

Leki dla przychodni zdrowia **25 762 zł**

Remont salek parafialnych w Boriç **130 486 zł**



NADDNIESTRZE

Studia od Serca **30 000 zł**

Ukraina



Pomoc ofiarom wojny **89 944 zł**



Inne PROJEKTY

Intencje mszalne dla misjonarzy **359 880 zł**

Środki transportu dla misjonarzy **69 245 zł**

Stypendia dla studentów w Afryce **10 270 zł**

Lampy solarne dla przychodni na Madagaskarze **5 500 zł**

Bilety lotnicze dla misjonarzy **19 460 zł**

Leczenie misjonarzy **13 000 zł**

Utrzymanie Domu dla Misji w Olsztynie **35 100 zł**

Budowa sercańskiego kościoła w Kaliszu **402 850 zł**

**Łączna kwota przekazanej
pomocy dla misji w 2022 roku**

4 976 033 zł

INTENCJE MSZALNE DLA MISJONARZY

Misjonarze posługują najczęściej wśród bardzo ubogich ludzi. Nasze projekty pomocowe skierowane są właśnie do tych, do których misjonarze przychodzą z Ewangelią. Sami księża także potrzebują wsparcia w codziennym utrzymaniu: muszą kupić żywność, odzież, zapłacić za paliwo czy naprawę samochodu. Możemy ich wesprzeć poprzez zamawianie intencji mszalnych.

Przyjmujemy intencje mszalne:

- + **jednorazowe**
- + **gregoriańskie**
30 Mszy św. za jedną osobę zmarłą
- + **nazaretańskie** (do Dworu Niebieskiego)
30 Mszy św. za osoby żyjące
- + **wieczyste**

KONTAKT:

ks. Marek Przybyś SCJ

tel. 797 535 622

e-mail: modlitwa@misjesercanow.pl



BIURO W OLSZTYNIE

ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn ▪ tel. +48 537 411 405

BIURO W LUBLINIE

ul. Radzyńska 3a, 20-850 Lublin ▪ tel. +48 507 481 511

BIURO W WARSZAWIE

ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa

WWW.MISJESERCANOW.PL

www.zbieramto.pl | www.zbieramtowszkole.pl | www.coriss.pl

Dane do przelewów:

Nr rachunku PLN: 79 1600 1462 1847 3641 5000 0008Nr rachunku DOLAR: PL 52 1600 1462 1847 3641 5000 0009
SWIFT: PPAB PLPKNr rachunku EURO: PL 41 1600 1462 1847 3641 5000 0013
SWIFT: PPAB PLPK**KRS 0000 794 610**
Fundacja Missio Cordis**misje****SERCAŃSKI MAGAZYN MISYJNY****WYDAWCA**Fundacja Missio Cordis,
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn**ADRES REDAKCJI**

ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

KONTAKTdorota.pospiech@misjesercanow.pl
kontakt@misjesercanow.pl**REDAKTOR NACZELNA**

Dorota Pośpiech

PROJEKT GRAFICZNY

Mateusz Miernik

ASYSTENT KOŚCIELNY

ks. Zbigniew Chwaja SCJ

AUTORZY TEKSTÓWks. Zbigniew Chwaja SCJ, ks. Piotr Chmielecki SCJ,
Krzysztof Błażyca, Dorota Pośpiech,
Kamila Marcinkiewicz, Izabela Cywa,
Sara Suchowiak, Dorota Mazur**ZDJĘCIA**materiały Sekretariatu Misji Zagranicznych,
Krzysztof Błażyca**KOREKTA**

Katarzyna Tran Trang

ZESPÓŁ KOREKTORSKIKrystyna Jakaczyńska, Beata Wysocka,
Ewa Kujaszewska**ADMINISTRATOR DANYCH OSOBOWYCH**

Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego (Księża Sercanie) Prowincja Polska – Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów, ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa.

Dane kontaktowe: Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów, ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn, e-mail: kontakt@misjesercanow.pl, telefon: 537 411 405.**1. Dane osobowe są przetwarzane w celu:****1.1. W celu przekazania darowizny**

Jeśli decydują się Państwo przekazać nam darowiznę, Państwa dane osobowe przetwarzane są w celu rozliczenia otrzymanych darowizn oraz ewentualnego kontaktu z darczyńcą w celu przesłania podziękowań za przekazaną darowiznę. Przetwarzanie danych Darczyńców w celu rozliczenia otrzymanych darowizn jest naszym obowiązkiem i wynika z przepisów prawa. Natomiast podanie przez Państwa danych takich jak numer telefonu lub adres e-mail w celu umożliwienia nam kontaktu z Państwem odbywa się za Państwa zgodą. Wyrażenie zgody jest dobrowolne.

Dane Darczyńców przetwarzanych w celu rozliczenia darowizny będziemy przetwarzać przez 5 lat liczonych od roku następującego po roku ostatniej czynności księgowej. Dane wykorzystywane do celów analitycznych będziemy przetwarzać przez 5 lat liczonych od roku momentu zakończenia analizy danych. Natomiast dane kontaktowe będziemy przetwarzać do czasu odwołania przez Państwa zgody.

1.2. W celu skontaktowania się z nami

Moga Państwo kontaktować się z nami poprzez wysłanie wiadomości e-mail lub telefonicznie. Podanie danych osobowych w celu uzyskania kontaktu jest dobrowolne, za Państwa zgodą. Zakres przetwarzanych danych osobowych zależy od tego, z jaką sprawą

Państwo się do nas zwracają (np. przesłanie oferty i nawiązanie współpracy, darowizna, sprawy związane z realizacją czy udziałem w projektach itp.).

1.3. Zostawienia komentarza w mediach społecznościowych

Jeśli kontaktują się Państwo z nami za pośrednictwem mediów społecznościowych: (Facebook) – wysyłając wiadomość prywatną, udostępniając posty lub zostawiając komentarz – przetwarzamy Państwa dane osobowe, którymi posługują się Państwo w tych mediach. Korzystanie z powyższych kanałów jest dobrowolne i odbywa się za Państwa zgodą.

2. Wycofanie zgody na przetwarzanie danych osobowych

Zgodę, udzieloną na przetwarzanie danych osobowych w celach kontaktowych oraz w ramach realizacji projektu, mogą Państwo wycofać, wysyłając oświadczenie o treści: „Wycofuję zgodę na przetwarzanie danych osobowych w zakresie adresu e-mail/ nr telefonu (proszę podać adres e-mail)” mailowo (na adres: kontakt@misjesercanow.pl), listownie lub składając je osobiście w siedzibie Administratora danych osobowych.

Wycofanie zgody może być złożone wyłącznie przez właściciela danych osobowych. Administrator danych osobowych zastrzega sobie prawo weryfikacji tożsamości osoby wycofującej zgodę w celu zapewnienia prawidłowej realizacji uprawnień.

3. Udostępnianie danych osobowych

Zgromadzone dane osobowe mogą być udostępniane m.in.:

- dostawcom systemów informatycznych oraz podmiotom współpracującym w celu wykonywania czynności technicznych koniecznych do zapewnienia bezpieczeństwa tych systemów;
- podmiotom świadczącym usługi pocztowe i kurierskie zgodnie z prawem pocztowym w celu prowadzenia korespondencji tradycyjnej;

- podmiotom świadczącym usługi korespondencji e-mail, takim jak GetResponse;
- systemów bankowych lub instytucji płatniczej – Przelewy 24 – za pomocą której realizowane są wpłaty.

Ujawnianie danych osobowych prowadzone jest zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa oraz wyłącznie w sytuacjach, gdy jest to niezbędne w celu realizacji i rozliczania świadczonych usług z zapewnieniem poufności przetwarzanych danych osobowych. W przypadku korzystania z mediów społecznościowych dane osobowe będą przetwarzane w krajach, mogących nie zapewniać dostatecznego poziomu ochrony danych osobowych, np. w USA lub innych krajach, w których dostawcy mediów mają swoje serwery przetwarzające dane. Dane osobowe mogą być przeglądane i gromadzone przez amerykańskie służby (NSA, FBI, CIA), a Właściciele danych nie mają możliwości dostępu do sądowych środków prawnych w celu obrony przeciwko przetwarzaniu danych osobowych przez te służby.

4. Prawa właścicieli danych osobowych

W związku z prowadzonym przetwarzaniem mają Państwo prawo żądania:

- dostępu do swoich danych osobowych i ich poprawiania zgodnie z przepisami,
 - ograniczenia przetwarzania swoich danych osobowych,
 - usunięcia swoich danych osobowych w przypadku danych przetwarzanych na podstawie udzielonej zgody.
- Przysługuje Państwu także prawo złożenia skargi do Prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych.

W sprawach związanych z ochroną danych osobowych należy kontaktować się z inspektorem ochrony danych: ks. Marek Stokłosa, ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa, tel. 22 849 43 51.



DRODZY DARZYŃCY,

każdego roku możemy przekazywać misjonarzom coraz większą pomoc finansową. Jesteśmy Państwu za to niezwykle wdzięczni. Jest to też dla nas wielkie zobowiązanie – rosnące liczby świadczą o Waszym zaufaniu do nas i misjonarzy, którzy realizują projekty ewangelizacyjne i charytatywne. Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów określamy jako „most” pomiędzy Darczyńcami a misjonarzami i ich podopiecznymi. Każdego dnia wytrwale pracujemy, aby wypełnić to zadanie łączenia tych, którzy chcą pomagać, z potrzebującymi, którym misjonarze głoszą Dobrą Nowinę. Wielką radością jest dla nas fakt, że pomocą materialną wspieramy także misjonarzy nienależących do grona Księży Sercanów: siostry zakonne, księży diecezjalnych, misjonarzy świeckich. Dziękujemy Wam, że razem tworzymy Sercańską Rodzinę Misyjną!

ks. Piotr Chmielecki: sc

Zastępca Sekretarza Misji Zagranicznych
Księży Sercanów w Polsce

DOWÓD/POKWITOWANIE DLA ZLECENIODAWCY

nr rachunku odbiorcy	79 1600 1462 1847 3641 5000 0008
odbiorca:	Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów ul. Rakowa 11 10-185 Olsztyn
kwota:	
zleceniodawca:	
tytułem:	☐ Budowa studni w Czadzie ☐ Ofiara na misje – tam, gdzie najbardziej potrzeba ☐ Bezpieczna Mama ☐ Dożywianie i edukacja dzieci w Czadzie /lub inny cel:/ ☐



opłata:

nazwa odbiorcy	Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów
nazwa odbiorcy cd.	ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn
nr rachunku odbiorcy	7 9 1 6 0 0 1 4 6 2 1 8 4 7 3 6 4 1 5 0 0 0 0 0 0 8
waluta	W P P L N
kwota	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy c.d.	
tytułem	☐ Budowa studni w Czadzie ☐ Ofiara na misje – tam, gdzie najbardziej potrzeba ☐ Bezpieczna Mama ☐ Dożywianie i edukacja dzieci w Czadzie /lub inny cel:/ ☐
pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy	
Opłata:	
	06